№ 3. Piątek, dnia 16 Października 1874 roku. Tom I.

# OGNISKO DOMOWE
## Tygodnik

WARSZAWA dnia 4 (16) października 1874 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

## WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY
### Sierpień—Wrzesień 1874 r.

K. Wł. Wójcickiego.

### I.

Józef Kremer.—Komisya dla filozofii w krakowskiej Akademii Umiejętności. —Wykazana jej potrzeba.—Program nowego dzieła J. Kremera: „O najważniejszem zadaniu filozofii w obecnym czasie."—Jan Szwed chłop z pod Żywca—Odwiedziny Kazimierza Brodzińskiego w 1827 r. w Warszawie.—Klasztor Sióstr Miłosierdzia Ś-go Wincentego á Paulo.—Nowy kościół.—Biskup Łętowski i rewolwer.—Przełożona siostra Talbot.—Grobowiec biskupa Łętowskiego.—Barbara Radziwiłłówna, Felińskiego.—Zdanie o niej Kremera.

Przybywszy do Krakowa w dniu 13 Sierpnia r. b. żadnego z bliżej znanych mi literatów tutejszych nieznalazłem, oprócz jednego J. Szujskiego, sekretarza Akademii Umiejętności, który był już na wyjezdnem; wybierał się bowiem do Warszawy i do Wilna, a po drodze pragnął w Kownie zobaczyć *dolinę Mickiewicza*. Miał mu towarzyszyć Karol Estrejcher, bawiący z rodziną w kąpielach *Rabki*. Lucyan Siemieński odpoczywał w Szczawnicy po ukończeniu druku *Odyssei*, którą tak po mistrowsku przełożył. Józef Majer, prezes Akademii Umiejętności, zamieszkiwał przez sierpień cały, jak zwykle, w uroczych Krzeszowicach, wraz ze swym od wielu lat przyjacielem Skoblem; Józef Kremer bawił w Węgrzech; ten ostatni wrócił do Krakowa w kilka dni po mojem przybyciu, a za nim i Siemieński.

Kremer, ulubiony w całej naszej społeczności pisarz, znany szczególniej z *Listów z Krakowa*, które już doczekały się trzeciego wydania, mieszka w swoim domu na *Sławkowskiej* ulicy. Kamienica ta, niepozorna na oko, ma, jak prawie każda w Krakowie, swoje historyczne wspomnienia. Była ona własnością hr. Mieroszewskiego; tu przemieszkiwał Książe Józef Poniatowski, idąc dalej ze szczątkami wojska, po strasznej kompanii 1812 roku, w której cała potęga Napoleona I-go zgruchotaną została. Sień obszerną, sklepioną, zdobią popiersia sześciu starożytnych filozofów. Kremer mieszka na pierwszem piętrze. Zajmuje dwa pokoje, gdzie pracuje. Pierwszy wchodowy o jednem oknie, drugi o dwóch od ulicy, a w nim ściany zastawione szafami pełnemi książek; pomiędzy niemi przy środkowej ścianie kanapka, na której po obiedzie odbywa krótką drzemkę, i wielki pod oknem kantorek na którym pisze. Drzwi gabinetu wpołowie są zwierciadlane, a gdym na nie zwrócił uwagę, opowiedział mi zabawne zdarzenie. Od pięciu lat pracuje nad *Logiką*, trzeci raz już ją przegląda, poprawia i uzupełnia, kiedy niedawno Antoni Małecki bawiąc w Krakowie poddał mu myśl nową, której się skwapliwie Kremer pochwycił.

Pierwotnie miała to być książka wyłącznie do użytku szkolnego przeznaczona, ale w ciągu pracy przybrała rozmiary większe nad plan pierwiastkowy. Owóż Małecki poradził mu, ażeby dzieło tak gruntownie i starannie opracowane, które znał już w rękopiśmie, podzielił na dwie książki. W obszerniejszych ramach gotową, która ma przeznaczenie dzieła pouczającego dla uniwersytetów, profesorów i własnej nauki każdego więcej wykształconego człowieka, a skrót z niego, w głównych tylko zarysach przygotował dla szkół niższych. Nanowo więc zabrał się do mozolnej pracy, która nieraz w noc się przeciągnęła. Jednej takiej nocy, z głową pełną myśli, wziął świecę i chciał wyjść z gabinetu, gdy nagle ujrzał przed sobą tuż idącą osobę, także ze świecą. Ujrzawszy ją zawołał więc: *przepraszam!* cofnął się o parę kroków i dopiero zobaczył, że to było odbicie jego własnej postaci w tych drzwiach zwierciadlanych, i sam się uśmiał ze swego zamyślenia.

Kremer bawił cały miesiąc w *Szmeksie* na Węgrzech: piękności tej okolicy, i cudnego powietrza dosyć nachwalić się nie mógł. Przenosi je nawet nad słynne miejscowości włoskie i szwajcarskie, które dawniej zwiedzał i opisał w swej: *Podróży do Włoch*.

— Bo uważasz panie Kazimierzu, mówił do mnie, niebo lazurowe, żadną chmurką nie zbrukane, woń balsamiczna w około, wyborna woda, a do tego uprzejmość i gościnność Węgrów, wszystko się złożyło na umilenie nam pobytu (byt z małżonką i córką młodszą) w tem uroczem miejscu. Orzeźwiałem i odżyłem w Szmeksie!

Jakoż rzeczywiście z wielką pociechą ujrzałem Kremera w dawno niewidzianej czerstwości, ze świeżym umysłem, i dawnym zapałem zawsze młodego serca: *„Kochana to dusza!"* jak się lud nasz wyraża o człowieku, którego miłuje, wielbi i szanuje, a to wyrażenie wyborne zastosować mogę do tego pełnego talentu i zasługi pisarza i profesora.

Wielki ma dar płynnego słowa, a zapas wiadomości niewyczerpany, które nietylko zaciekawiają, ale porywają nawet.

Kiedym się dziwił nad zapałem, jaki rozwija często w swej opowieści, który rzadko towarzyszy sędziwemu wiekowi, odrzekł mi na to:

— To młode uczucie, które zachowałem w sobie pomimo siwizny zawdzięczam mojej drogiej matce. W dziecinnych latach byłem bardzo chorowity, a każda matka do takich biednych istot najwięcej się przywiązuje. To też chowała mnie jak dziewczę i mogę ci powiedzieć z ręką na sercu, że mając lat dwadzieścia z górą, po pobycie w Berlinie i Paryżu wróciłem jak panienka.

Zwróciłem uwagę na ogrom prac, jakie Akademia Umiejętności podjęła w pierwszym roku swego istnienia, na wielką ilość publikacyi, które już z pociechą serca oglądałem.

— Przewodniczę w Wydziale historyczno-filozoficznym (mówił Kremer) i patrząc na dzisiejsze prądy duchowe, przyszła mi myśl, że naglącą jest rzeczą ustanowienie *Komisyi dla filozofii* celem badań nad historyą filozofii, w Polsce, w szczególności zaś w XV i XVI wieku, ustalenia terminologii filozoficznej, zdawania sprawy z najnowszych publikacyi na polu filozofii w kraju i zagranicą, jak niemniej z prac filozoficznych Wydziałowi nadesłanych. Motywa potemu, które położyłem masz wydrukowane w *Sprawozdaniach* naszego Wydziału[1]),

[1]). *Rozprawy i Sprawozdania z posiedzeń Wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności*. Tom I. Kraków, 1874 r.

a najgłówniejszy nacisk dałem na to, jak ciężkie przesilenie duchowe przechodzi świat w tych czasach, a jak straszliwa niemoc ogarnia go w tych chwilach. Dawne społeczeństwa węgły się walą, starowieczna tradycya moralności i obyczajów uchodzą ze ziemi, *negacya* wżera się rakiem w serca ludzkie, a natomiast bezczelne lekceważenie wszelkiej idealności, coraz zuchwalej się rozpiera, żądza gorączkowa używania życia, opętała ludzi, materyalizm wierzący jedynie w to, czego się dotknąć może, stał się jedynym ustawodawcą chęci ludzkich. Za jedyne lekarstwo na to uważam filozofią, bo historya najlepszą w tej rzeczy jest mistrzynią. Spojrzyjmy na starą Grecyą za czasów Sofistów na blisko pięćset lat przed Chrystusem. I wtedy rozzuchowalona jednostka nieznała innych prawd, tylko te, które jej poddawało sobkostwo i chęć dogodzenia namiętnościom swoim, to tylko było dla każdego prawdą, co mu się prawdą być zdawało, a to jedynie moralnem, cnotliwem, co mu było przyjemnem, a złem, co mu przynosiło szkodę. W tych czasach natrząsano się z dawnej tradycyi poczciwego obyczaju, poniewierano ustawami ojców, na teatrach wyśmiewano bogów. Z tej toni wyratowała Grecyą filozofia. Sokrates zrozumiał, że do dawnych obyczajów Grecya wrócić niemoże bo dawne cnoty spoczywały na tardycyi, że i wiara w bogów uleciała z dawną fantazyą wieszczów, że po dawnemu instynktowe dopełnienie powinności, i że cnoty dokonane z natchnienia nie były już na czasie właśnie dlatego, że były jedynie tradycyą, poczuciem, instynktem. Sokrates obronił społeczeństwo swoje, dając mu na miejsce tradycyi i instynktu, umiejętność i rozumowanie, aby Grecya zastąpiła dawną wiarę, dawną cześć narodową dla obyczaju, przekonaniem rozumowem. Zatem myślę, że i dziś, zadaniem najwyższem, najnaglejszem, filozofii w całej Europie jest właśnie także, aby na miejsce dawnego poczucia, dawnych instynktów, podać społeczności zasady i prawdy na rozumowaniu, na filozofii oparte. U nas, jak znamy nasz naród, potrzeba nietylko do rozumu przemawiać ale i do serca, ażeby święte prawdy dla człowieka rozpowszechniać i zaszczepić; otóż pomyślałem o takiem dziele i dałem mu tytuł: *O najważniejszem zadaniu filozofii w obecnym czasie*. Są to dopiero kartki pisane dorywczo w różnych chwilach mego życia, pod rozmaitem wrażeniem, ale kierowane jedną główną myślą. Potrzeba je tylko spoić i do harmonii doprowadzić, a jak skończę moję *Logikę*, co w ciągu paru miesięcy nastąpi, zaraz się wezmę do tej pracy. Będzie ona popularną, dostępną zarówno dla kobiety jak zwolennika tylko literatury ojczystej a i głębszy nawet, jak sądzę, myśliciel znajdzie w niej niejedno godnę siebie uwagę. Znasz mnie i wiesz, że nie mam zarozumiałości, ale to co ci mówię, mówię szczerą prawdą. Teraz pozwolisz to ci odczytam wstęp w pierwszym zarysie, który mam gotowy do pomienionego działa.

Wyrzekłszy te słowa, wziął z kantorka rękopisał i czytał co następuje: (*d. n.*)

---

## MUZEUM TECHNICZNO PRZEMYSŁOWE Dra Adryana Baranieckiego W KRAKOWIE.

NAPISAŁ

***A. H. Kirkor.***

(Dokończenie).

Gdy dziś w Warszawie kwestya założenia muzeum technicznego, jest na porządku dziennym; sądzę, że z ciekawością przeczytać zechcecie opisanie, co też-to Muzeum Dra Baranieckiego zawiera w sobie, i jakie w niem wykłady?

Zacznijmy od Muzeum. Widzimy tu naprzód: *Dział pokarmów*, który zawiera w sobie ziarna wszelkie, mąki najrozmaitsze, krupy, mąki z drzew amerykańskich, olejne rośliny, korzenne zaprawy, cukry, miody, woski, napoje, kawę, herbatę, kakao, wyroby spirytusowe; przechowywanie pokarmów rozmaitemi sposobami, tak naprzykład: marynowane, solone, suszone, wędzone, konserwowane w hermetycznych pudełkach, oraz wiele innych okazów.

*Dział mineralogiczno - górniczy* zawiera: węgle kamienne z rozmaitych stron, nawet z Nowej Zelandyi, z Ameryki, z wysp odległych i t. d.; przeroby z węgla kamiennego, jako to koksy, olejki lotne, smoły ziemne, dalej torfy, nafty, woski ziemne, parafiny i świece parafinowe z fabryk rozmaitych; siarki, minerały służące do budownictwa i do ozdoby osób; okazy drogich kamieni: brylantów, szmaragdów, krwawników, ametystów i t. d.; marmury, alabastry, wody mineralne krajowe; wreszcie okazy soli z rozmaitych stron, oraz wyroby z niej otrzymywane.

Następnie są *nawozy sztuczne* różnego rodzaju, guano, okazy z Egiptu i wysp dalekich.

*Dział ceramicznych wyrobów* nadzwyczaj bogaty i starannie dobrany. Od gruboziarnistych z piaskiem mięszanych wyrobów glinianych z epok pierwotnych, do najnowszych wyrobów, tak do użytku domowego jak i do budownictwa służących. Tak naprzykład mamy tu cegły, posadzki, dreny, rury, oprócz krajowych, z rozmaitych stron sprowadzane, z Niufundland, z Nowej Szkocyi, angielskie, francuskie, hiszpańskie, szląskie i t. p.

Dalej prześliczne angielskie płytki ozdobnie emaliowane, kafle z rozmaitych krajów są pięknie mozajkowane, są marokańskie, hiszpańskie, francuskie, angielskie; gliniane proste wyroby z wielu prowincyi i miejscowości, a nadto zagraniczne: marokańskie, duńskie, pruskie, saskie; są bardzo ciekawe okazy nubijskie, z Arabii szczęśliwej, chińskie, japońskie; znajduje się w liczbie okazów *puah*, bałwanek chiński porcelanowy, przed 800 laty zdziałany; fajki tureckie, niektóre okazy bardzo ozdobne ściągnęły na siebie uwagę na wystawach paryskiej i wiedeńskiej, szczególnie z Morawy, portugalskie, hiszpańskie z Metlach, sławne angielskie Doulton'a. Następnie prastare wyroby gliniane, etruskie, rzymskie i greckie, egipskie i meksykańskie. Są wyroby z gliny, tak zwane Lyderolithowe z Teplitz. W końcu okazy samej gliny i cały proces fabrykacyi porcelany i fajansów.

Okazy porcelany i fajansów nie tylko są liczne, ale niektóre bardzo kosztowne; są okazy z Korca i Baranówki, saskie, chińskie, japoń-

---

## U OGNISKA.

Od kilku dni, literatów, artystów i miłośników Melpomeny, zajmuje gorąco i zaciekawia nowość, jaką jest pięcio-aktowy dramat pana Wincentego Rapackiego, artysty naszej sceny, p. t. *Wit Stwosz*, złożony w Dyrekcyi teatrów i przez takową przyjęty do przedstawienia.

Mieliśmy sposobność słyszeć tę pracę, czujemy się więc w obowiązku całem sercem podzielić przychylne o niej wzmianki codziennych pism naszych.

Dramat pana Rapackiago, który już pod względem literackim możemy ocenić, i który niewątpimy, że odegrany na scenie przez utalentowanych artystów, wystawiony z okazałością, jakiej wymaga, stanie między pierwszorzędnemi tego rodzaju dziełami, jest pisany białym potoczystym wierszem, językiem pięknym, nieprzesadnie nacechowanym barwą złotej epoki naszej literatury.

Talent poetycki, głębokie studya historyczne i estetyczne, piękność myśli, prostota a zarazem i siła słowa, dar odtwarzania postaci i utrzymania ich w dzielnie zarysowanych charakterach, podały sobie ręce do skreślenia dramatu „Wit Stwosz," któremu zapewne niezadługo, z całem uczuciem niebezzasadnej życzliwości będziemy mieli sposobność przyklasnąć w sali wielkiego teatru.

Autor główną rolę, ofiarował panu Królikowskiemu.

Zacięta walka pomiędzy dwoma obozami akcyonaryuszów drogi Nadwiślańskiej trwa ciągle i do żadnych jeszcze nie doprowadziła rezultatów. Dotychczas wszystko kończy się na słowach, na próżnej gadaninie, ochrzconej szumnem mianem posiedzeń publicznych, z których obszerne sprawozdania, przez pisma codzienne podawane, dowodzą tylko, że i świeżo odegrany akt tej wstrętnej tragi-komedyi nie był jeszcze jej aktem ostatnim. Jak długo zatem potrwa jeszcze ta walka, niewiadomo—to jednak pewna, że budowa się opóźnia, pieniądze marnują bezpotrzebnie, a kraj cały traci na tej wzajemnej nienawiści dwóch potęg naszego finansowego świata. W ostatnich dniach rozeszła się po mieście pogłoska o nastąpionej zgodzie pomiędzy przedstawicielami większości i mniejszości akcyonaryuszów—dotychczas jednak jest to głuche tylko echo życzeń i żądań ogółu. Powyżej przywiedziona pogłoska tuła się już między nami od dni kilku, a tymczasem dochodzą nas pewne wiadomości z Petersburga, o zwołaniu tam przez mniejszość, nowego nadzwyczajnego posiedzenia, które, na pewno twierdzić można, pozbawione poparcia ze strony większości, do niczego znowu nie do-

skie, oraz z Kopenhagi; imitacye kości słoniowej; prześliczne kwiaty porcelanowe; do cennych egzemplarzy należy statuetka wyobrażająca Sapho, wyrób angielski, jak również popiersie z terracotty z porcelaną połączonej wyobrażające wojnę [1]); są kafle fajansowe z Bagdadu z XVI i XVII wieku, przez niewolników perskich robione; płytka pochodząca z pałacu Bajazeta w Adryanopolu, z wieku XIV.

Następuje dział *rud żelaznych i surowców*, z całym procesem fabrykacyi wyrobów z żelaza, z cynku, cyny, miedzi, niklu i t. d. Później następują szlachetne metale: samorodki złota, srebra, platyny, rudy srebrnej; okazy skał, w których takowe się znajdują; narzędzia używane do polerowania i w ogóle obrobienia metalów (szczotki, szmirgle, proszki, piasek i t. d.)

Do tegoż działu zaliczamy imitacye, odlewy elektrogalwaniczne oksydowane, posrebrzane, i pozłacane. Z tych ostatnich zwraca na siebie uwagę tarcza duża, podług znakomitego oryginału Morel Ladeiul, wyobrażająca sceny z utraconego raju Miltona, w zakładzie Elkingtona w Londynie wykonana, również dwie wyzłacane tace, wyobrażające wszystkie miesiące. Kilkanaście bóstw egipskich i indyjskich z bronzu i mosiądzu. Nakoniec niewielki ale ciekawy zbiór broni wszelkiej, od dawnych mieczów (Morgenstern) i strzał, do najnowszych toporków góralskich, które swoim kształtem przypominają toporki kamienne z wieków pierwotnych. Jest broń czarnogórska, indyjska i inne.

W dziale *szkieł i kryształów* są czeskie, włoskie, belgijskie i angielskie okazy.

*Mozajki* staro i nowo-rzymskie, florenckie, weneckie, okazy mozajek z kościoła św. Zofii w Konstantynopolu, oraz z kościoła św. Marka w Wenecyi. Okazy mozajkowe z drzewa, nicejskie, irlandzkie, inkrustacye indyjskie i t. d.

[1]) Na Wystawie Wiedeńskiej były dwie statuetki — jedna wyobrażała Wojnę; druga Pokój; Arcyksiążę Ludwik kupił *pokój*, a *wojna* dostała się doktorowi Baranieckiemu.

*Wyroby z kamienia, z alabastru, ze szpeksztejnu* (słonińca), chińskie, oraz z syberyjskich kamieni.

*Filigranowe* metalowe wyroby dawne i teraźniejsze.

*Wyroby z drzewa*, pnie krajowe i zagraniczne, okazy wyrobów ludowych, łyżki, misy, narzędzia i sprzęty rolnicze i gospodarskie. *Rzeźby z drzewa* z gór tatrzańskich, szwajcarskich, tyrolskich; ciekawe sandały braminów indyjskich, wyroby algierskie, chińskie, ozdoby z pałacu cesarskiego w Pekinie, ozdoby japońskie, ciekawy bożek indyjski i w. i.

*Wyroby z włókna:* z lnu i konopi, aloesowe nowozelandzkie, wyroby z łyka i trzciny. Są tu rozmaite gatunki nici i płócien, od wiejskich do najwykwintniejszych fabrycznych wyrobów.

*Plecionki* z traw (rantuchy), brazylijskie, z zachodnich brzegów Afryki; maty hiszpańskie, indyjskie i egipskie. *Słomkowe* wyroby szwajcarskie, włoskie, angielskie. *Koszykowe* wyroby, algierskie, z Martyniki, chińskie, japońskie, tuniskie. Ślicznie opleciona butelka robiona przez galernika w Alikante. Wreszcie kapelusze słomkowe z pod Krakowa, kaszkiety rzeszowskie, plecionki kwaczalskie, palmowe plecionki z Tunisu; nakoniec wyroby z trawy Esparto z Hiszpanii i Północnej Afryki.

*Wyroby bawełniane*, liczne okazy w nasiennikach; włókna bawełniane, cały proces wyrobu perkalów i muślinów z Glasgowa, ze słynnej fabryki Waltera Crum et comp., nadto przeszło 200 okazów bawełn europejskich, amerykańskich, azyatyckich, australskich, nakoniec bardzo znakomity zbiór wyrobów bawełnianych, z rozmaitych stron.

*Wyroby wełniane* niemyte i myte; są tu okazy wełny polskiej, rozmaite europejskie, z Peru, z Argentyjskiej rzeczypospolitej, australskie, alpaki, wełny z królików syberyjskich, wielbłądzie, kozie, angorskie, i t. p.— dalej proces cały wyrobu, okazy rozmaitego sukna, kortów, pasów i t. p.

Znaczna ilość wyrobów z *jedwabiów* krajowych i zagranicznych.

*Skóry, safian*, rozmaite okazy i z nich wyroby; jest obuwie z tybetu, trzewiki kirgiskie, czarnogórskie, tureckie buciki damskie z golędziami, arabskie sandały i w. i.

Bogaty zbiór *haftów* rozmaitych. Są tu tureckie i serbskie hafty, pasy słuckie, kaleta polska, pantofle perłami wyszywane, ciekawa poduszka ładnie haftowana przez dziewczęta wiejskie w Iwachnowcach na Podolu. Dalej hafty białe, koronki najrozmaitsze i roboty deseniowe.

Okazy wyrobów *papierowych*, papyrusy, bogaty bardzo zbiór obicia, farby, garbniki, lakiery, gumy, żywice, wyroby lakierowane rosyjskie, chińskie, japońskie; ceraty i płótna lakierowane.

Nakoniec są jeszcze osobne, nader ważne działy i zbiory. Tak naprzykład nieliczny zbiór monet i medali (o ile sztuka mennicza ma związek z przemysłem), okazy rozmaitego pisma, druków, litografii, miedziorytow, drzeworytów, kolekcya kart, malowidła chińskie i japońskie na tkance roślinnej, indyjskie malowidła i t. p.

Przebiegliśmy całość powierzchownie tylko, gdyż niepodobna wyliczyć wszystkiego. Dodać tylko winniśmy, że Dr. Baraniecki trzymał się zawsze nader korzystnego dla uczących się systematu, a mianowicie *najpierwej* przedstawia surowy materyał, 2) półfabrykat, t. j. już przerobiony surowy materyał, jaki się w handlu znajduje; 3) Wyroby z niego i 4) Przyozdobienia, t. j. zastosowanie sztuki pięknej do przemysłu i rzemiosła.

Nie wspomnieliśmy o jeszcze jednym dziale, który w przyszłości zająć może ważne naukowe stanowisko. Gdy jest wiele przedmiotów takich, których nie można wcielić do żadnego z powyższych działów; inne zaś z rozmaitych okazów złożone, formują całość odrębną, jak naprzykład pełne ubiory i stroje z różnych materyałów zdziałane, byłoby zaś barbarzyństwem, oddzielać je podług materyałów, przeto tworzy się osobny dział *etnograficzny*, a ten z czasem niezawodnie dojdzie do znacznych rozmiarów.

Przy muzeum istnieje *laboratoryum* dla wykładów, oraz dla rozbiorów chemicznych. Jest także biblioteka i tylko brak miejsca przeprowadzi. A doprawdy, czas by już było zakończyć to wstrętne i gorszące widowisko i zająć się szczerze budową nowej drogi, od tak dawna pożądanej, tak niezbędnie potrzebnej i oczekiwanej przez kraj cały z taką niecierpliwością.

W zeszłą niedzielę pan Cybulski, ukazał się powtórnie na naszej scenie, w roli stróża *Melchiora* w wesołej, pełnej humoru i życia, acz znanej nam oddawna krotochwili Nestroya p. t. „Chcę sobie pohulać.” Kto nie pamięta zmienionego w *Melchiora*, nieodżałowanego artysty ś. p. Ludwika Panczykowskiego, ten jeżeli nie wyszedł z teatru zupełnie zadowolony grą pana Cybulskiego, to przynajmniej musiał temu artyście przyznać wiele obycia się ze sceną (rutyny), dosyć humoru w grze i niezgorsze utrzymanie przyjętej na siebie postaci w charakterze, jaki jej nadał autor, któremu jednak artysta niewiele plastyką dopomagał.

Kto zaś pamięta grę ś. p. Panczykowskiego ten dopiero mógł sobie zdać sprawę, o ile nawet rolę niewymagającą głębokich studyów, prawdziwy talent może podnieść i uwydatnić.

Bądź co bądź, rola Melchiora, niewielkiej doznała krzywdy w grze pana Cybulskiego, kilka doraźniejszych w niej ustępów zjednały debiutantowi huczny poklask, a publiczność tłumnie zebrana, bawiła się serdecznie wesołemi scenami, konceptami i humorem swojej dawnej a dla występu p. Cybulskiego wznowionej znajomości.

W zeszłą niedzielę odprowadziliśmy na miejsce wiecznego spoczynku na cmentarzu powązkowskim zwłoki ś. p. Zygmunta Wójcickiego. Zmarły, porzuciwszy zawód ziemianina i pracę około roli, którą się początkowo zajmował, zamieszkał stale w Warszawie. Znany powszechnie z dowcipu był współpracownikiem wszystkich wychodzących u nas pism humorystycznych, począwszy od *Wolnych Żartów*. Ś. p. Zygmunt był także jednym z założycieli oraz współredaktorem Kłosów w początkach istnienia tego pisma, w którem pomieścił humorystyczną powieść p. t. *Podróż pana Jacentego do północnego bieguna.* Wesoły ten utwór, obszerniejszych rozmiarów, ilustrowany u nas przez Kostrzewskiego, tłómaczony był na język angielski. Zmarły, złamany od lat kilku ciężką chorobą, do ostatniej chwili nie przestawał pracować i o ile wiemy, pozostawił w rękopisie parę prac rozpoczętych, lub nawet częściowo już wykończonych. Żył lat 40. Umarł w domu sędziwego ojca swojego Kazimierza Władysława.

Uczczoną więc będzie godnie pamięć niezapomnianego barda, oddaną zostanie cześć Po-

szkadza, że do tego czasu czytelnia dla uczennic otwartą nie została.

Na utrzymanie Muzeum, t. j. opłatę lokalu (1,100 reń.), asystenta, stróżów i t. d. z dochodów miejskich wypłaca się rocznie około 3,000 guldenów.

Przejdźmy teraz do wykładów, których koszta ponosi sam Dr Baraniecki, mając niewielki zasiłek z opłat bardzo umiarkowanych od uczennic stałych, oraz od osób uczęszczających na wykłady publiczne.

Popularne wykłady dla kobiet dzielą się na 5 oddziałów. I tak:

1) *Nauk przyrodzonych:* Fizyka doświadczalna, Zoologia, Mineralogia, Astronomia popularna, Botanika, Chemia, Hygiena popularna, Geologia, wreszcie zastosowanie praw fizycznych do wyjaśnienia ważniejszych zjawisk w przyrodzie.

II. *Sztuk pięknych:* rysunki i malowanie, modelowanie w glinie i wosku, historya i estetyka sztuk pięknych, o ozdobach w architekturze i rękodziełach w głównych epokach sztuki.

III. *Nauk historyczno-literackich:* Literatura powszechna i polska, historya polska, pedagogika, nauka języków: język polski i stylistyka teoretycznie i praktycznie; języki: francuski, niemiecki, angielski i włoski.

IV. *Nauki handlowe* (jedynie dla kobiet): nauka o monetach, miarach i wagach; rachunkowość kupiecka, prowadzenie ksiąg handlowych, korespondencye handlowe.

V. *Wydział gospodarczy:* gospodarstwo domowe kobiece, wiejskie w ogólnych zarysach, sadownictwo, ogrodnictwo warzywne i kwiatowe, jedwabnictwo i pszczolnictwo; technologia domowa, rachunkowość i prowadzenie ksiąg gospodarskich.

To jest wykaz przedmiotów *stałych*, ale nadto są codzienne prawie odczyty publiczne o literaturze, poglądy historyczne, psychologiczne, o sztuce plastycznej, o literaturze słowiańskich narodów, mitologiczne i etnograficzne zarysy Słowian i t. d.

Istnieje nakoniec wyższy zakład nauk handlowych dla mężczyzn, w którym wykładają się: Ekonomia społeczna, Geografia handlowa, prawo handlowe i wekslowe, ustawa przemysłowa, towaroznawstwo, praktyczne badanie towarów pod mikroskopem i odczynnikami chemicznemi, historya handlu, wreszcie prowadzenie ksiąg handlowych.

Profesorów stale wykładających bywa zwykle od 16—20. Wykłady mają profesorowie uniwersytetu Jagiellońskiego, jak np. Dr Alth (geologii i mineralogii), Dr Karliński (astronomii), Dr Janikowski (hygieny), Dr Kozubowski, emeryt (pszczolnictwa i jedwabnictwa), docenci: Dr Bełcikowski (literatura), Dr Rehman (Botanika), Dr Straszewski (psychologia), profesorowie techniki oraz szkoły sztuk pięknych: Rozwadowski (chemii), Łuszczkiewicz (historyi i estetyki sztuk pięknych). W końcu niektórzy z profesorów gimnazyalnych i znani literaci, naprzykład Alfred Szczepański i inni.

W odczytach publicznych równocześnie brali udział: Libelt, Majer, Kraszewski, Siemieński, ś. p. Pol, Zacharyasiewicz, ś. p. Aleksander Przeździecki, Dunajewski, Wajgel, Szujski, Estrejcher, Kirkor, Roszkowski, Żebrowski, Sokołowski i inni.

W rozpoczynającym się roku szkolnym, szkoła rysunkowa dla kobiet rozszerza swój zakres. Uświetni ją opieka i kierownictwo sławnego Matejki. Szkoła ta zdobywa dwóch nowych stałych profesorów: Lipińskiego i Abramowicza.

Oto jest choć krótki i pobieżny zarys tego zakładu, który sądzę, wystarczy jednak, aby ocenić całą doniosłość zasług założyciela i użyteczność dla ogółu tutejszego, samego zakładu.

Niepodobna nam w końcu przemilczeć i nieoddać sprawiedliwości prof. Rozwadowskiemu, który we wszystkich pracach i przedsięwzięciach Dra Baranieckiego, zawsze był najgorliwszym i najżyczliwszym pomocnikiem. On też zarządza laboratoryum.

---

# KOŁYSKA

Komedya w jednym akcie, wierszem,

**MICHAŁA CARRÉ i JULIUSZA BARBIER.**

Przełożył z francuskiego

BRONISŁAW PRZYREMBEL.

---

OSOBY:

GASTON.
TERESA, jego żona.
LUDWIKA, służąca.

Rzecz dzieje się w Paryżu, w naszych czasach.

---

Scena przedstawia pokój sypialny Teresy. W głębi alkowa, firanki podniesione, wejście zastawione parawanem. Drzwi z prawej i z lewej. Koło drzwi z prawej konsola. Na przodzie z lewej strony kominek. Przy kominku kozeta, stolik okrągły i fotel; na stoliku kałamarz, pióra i teczka z papierami. Po prawej drugi fotel przed toaletą. Scena oświetlona dwoma lampami, stojącemi na kominku.

## SCENA PIERWSZA.

**Teresa — Ludwika.**

(Teresa wchodzi drzwiami po lewej, za nią idzie Ludwika. Teresa ma na sobie negliż koronkowy, Ludwika trzyma na ręku strój balowy, który zdjęła jej pani).

**Ludwika.**

Czy się też pani dobrze na balu bawiła?

**Teresa**

Wybornie!

(Siada przed kominkiem)

Sił mi braknie!

**Ludwika.**

Ta bezsilność miła!

Pani szczęśliwa!

**Teresa.**

Prawda?

(Cofając się nagle)

Jak ten ogień płonie!

Zapewne chcesz mnie spalić?...

**Ludwika.**

Zaraz go zasłonię.

(Kładzie suknię na fotelu i naciska sprężynę ekranu umieszczonego przed kominkiem)

---

lowi, a rodzinie jego spłynie jaki taki grosik. Z dniem 1-ym stycznia rozpocznie dziesięcio tomowe wydanie jego wszystkich pism prozą i wierszem, drukowanych i w manuskryptach leżących, lwowska firma księgarska F. H Richtera. PP. Gebethner i Wolff przyjęli pośrednictwo w zbieraniu przedpłaty i ekspedycyi. Rzecz ta należała nam się oddawna... Wszyscy mistrzowie doczekali się powtórnych edycyi, nawet późniejszy lirnik wioskowy... Pol, dopiero teraz w nowej przybędzie nam szacie. Nie wątpić, że wyda się obecnie jeszcze piękniejszy, i że wszyscy go zapragniemy posiadać.

Dzięki inicyatywie prasy, życzliwości komitetu zeszłej wystawy, poparciu ze strony władz i zapobiegliwości wielu szacunku godnych jednostek, poszczycić się obecnie możemy: Muzeum przemysłowem. Ciągłą ofiarnością obywateli wzrasta liczba ciekawych, a mających prawdziwą doniosłość okazów. Zastanawiają się także nad stosownem ich umieszczeniem. Wkrótce więc będzie można zbiór uporządkować i oddać na usługę publiczną. Okaz jednak martwy nie pouczy ani widza, ani studyującego go specyalisty. Potrzeba objaśnienia, uzupełnienia, uwag, wykładu. Zdaniem więc naszem należałoby zaprowadzić takie ustawiczne prelekcye, na wzór systematycznych wykładów, we wszystkich muzeach zagranicznych. Na ludziach dobrej woli i środkach nie zbraknie. Rzecz tak pojęta i przeprowadzona wyda owoce— muzeum bez wykładu nie przyniesie korzyści. Opiekujący się więc obecnie losami muzeum, niechaj przyjmą do wiadomości tych słów kilka.

„To i owo, właściwie zaś: ani to, ani owo," jest to książka zawierająca w sobie, jak tytuł opiewa: „48 powiastek dla pełnoletnich dzieci." Autor, pan Bolesław Prus, znanym już u nas jest humorystą, to też i tutaj na 179 stronicach druku dał nam wiele dowcipu, wiele szczerego humoru, a pod tem wszystkiem sporą wiązkę głębszych myśli i spostrzeżeń. Pan Prus patrzy na społeczeństwo swoje okiem znawcy, widzi jego braki i potrzeby, umiałby zapewne moralizować, ale za pewniejszą i skuteczniejszą zarazem uważa broń satyry i dlatego nią się posługuje. A idzie mu to wcale zręcznie; byle odkrył jakąś słabą stronę natury ludzkiej, jakąś śmieszność lub wadę, zaraz w nią kieruje swój pocisk— i najczęściej trafia. Język w całem dziełku jest płynny i czysty, co także stanowi niemałą jego zaletę. Z tych to przyczyn radzimy tym wszystkim, co lubią się pośmiać szczerze — i głębiej się nad czemś zastanowić, aby wzięli do ręki *To i owo*, a pewno trudu swojego nie pożałują.

**Teresa.**
Dziękuję.
**Ludwika.**
Pani jeszcze potrzebuje czego?
**Teresa.**
Nie, już nic. Możesz odejść.
**Ludwika** (chce wyjść i zatrzymuje się)
Ah!
**Teresa.**
Cóż tam nowego?
**Ludwika.**
Zapomniałam...
**Teresa.**
Cóż znowu?
**Ludwika.**
Wieść najlepsza w świecie!
**Teresa.**
Dobra wieść?
**Ludwika.**
Tak jest, pani.
**Teresa.**
No, i jakaż przecie?
**Ludwika.**
Pan generał przyjechał.
**Teresa** (wstając)
Co?... co?.. czy być może?
**Ludwika.**
Koło ósmej godziny...
**Teresa.**
Przyjechał!.. Mój Boże
I nic mi nie powiadasz...
**Ludwika.**
Bo... tak się zdarzyło,
Że...
**Teresa.**
Pewno, by go przyjąć nikogo nie było?
**Ludwika.**
Owszem, był Piotr.
**Teresa.**
A z tobą czy mówił?
**Ludwika.**
Dwa słowa:
Kazał, żeby sypialnia była wnet gotowa,
Gdyż czując się znużonym po odbytej drodze
Chciał spocząć... bo podagra dokucza mu srodze.
**Teresa.**
Nic więcej?.. To mnie dziwi...
(Bardzo wzruszona)
A cóż o Julianie?...
**Ludwika.**
Mówił, że zdrowie dziecka jest w najlepszym
[stanie.
**Teresa.**
Wspominał mego syna?
**Ludwika.**
Tak, że bardzo miły,
Że prześlicznie wyrasta...
**Teresa.**
Odzyskuję siły!
Sądziłam... Dobrze, odejdź!
**Ludwika** (n. s., patrząc w kierunku alkowy)
Rzekłam, co kazano!
(Zabiera suknię i wychodzi)
**Teresa.**
To dziewczę mnie dziś trwogą przejmuje nie-
[znaną.

SCENA DRUGA.

**Teresa** sama.
Mój Julian! syn jedyny... nieobecność sroga!
Kiedyż ja go zobaczę!... ah! śmiertelna trwoga
Całym moim umysłem wstrząsnęła ogromnie.
Byłam szaloną... pierwej wuj pisałby do mnie!
Lecz jakiż nagły powód sprowadzać go może?
Czemu opuścił zamek swój w zimowej porze?..
Naprożno odgaduję; tu domyślność ginie;
Gdy zaczekam do jutra, najlepiej uczynię.
(Siada. — Po chwili)
Nie ręczę, lecz przypuszczam,... że wie prawdę
[całą,
Że wie, co tajemnicą dziś już być przestało!
Niegdyś jego siostrzeniec prosił, błagał o to
Bym dała jaki rozkaz, który on z ochotą
Spełniał. Dziś smutek z czoła, troskę widać
[z oka...
(Uśmiecha się)
Już po wszystkiem... skończona miłości epoka!
Gaston już mnie nie kocha... odpłacam jak mo-
On sobie, a ja sobie, każde w swoję drogę; [gę!
Cóż prostszego?.. skargami nie zatrudniam
[nieba;
Po trzech latach miłości, przymusu nie trzeba!
Najlepiej śmiać się z tego... i ja też tak czynię!
(Wstaje).
Otóż jak to w Paryżu życie w szczęściu płynie!
Na wsi inaczej, lepiej!
(Godzina bije).
Wpół do czwartej bije,
Czas spocząć.
(Siada przy toalecie i czesze się na noc)
Na wsi siostra, przyjaciołka żyje,
Gdzieś w okolicy Nevers... nie wiem z której
[strony,
Mniejsza!.. mąż ją dotychczas kocha jak szalo-
Po pięciu latach... ależ w to nikt nie uwierzy[ny
(Wskazując teczkę na stoliku z lewej).
Trzeba wierzyć bo dowód na stoliku leży.
Przy nich nadobne dziecię na pociechę rośnie,
I dom ich swym szczebiotem napełnia radośnie,
Moje zdala odemnie! Na ojca żądanie
Obca jakaś kobieta ma o niem staranie...
Nikt go tu nie wspomina...
(Ociera łzę)
I już nas Bóg karze,
Bo oto rozdwojenie wieczne w naszej parze!
(Przesuwa szybko ręką po czole)
Nie myślmy o tem; mąż mój żalu nie podziela.
(Wyjmuje bilecik z za stanika)
Co?.. pan Champrosé do mnie pisać się ośmiela?
(Gniecie bilecik)
To zniewaga!.. Niewdzięczny! on o tem nic nie
[wie!..
Nie przypuszcza, że zemścić mogłabym się
[w gniewie!
(Wstaje)
O mężowie! mężowie! głupie, śmieszne plemię!
Sami budzicie zemstę co skryta w nas drzemie!
(Po chwili)
Marzyłam, że mi nie tak życie wieść wypadnie;
Lecz byłam w błędzie; Gaston dowiódł tego
[snadnie;
Małżeństwo już mnie ludzi sądzić nauczyło;
(Idzie zwolna ku alkowie)
Wuj nawet nie przypuszcza, by już tak źle było!
(Słychać pukanie do drzwi)
Czy ty pukasz Ludwiko?
**Gaston** (za drzwiami)
To wcale nie ona,
To ja.
**Teresa.**
Kto taki?
**Gaston** (jak wyżej)
Jakto?... nie znasz mnie... Gastona!
**Teresa.**
Dawnoś wrócił?
**Gaston** (jak wyżej)
W tej chwili.
**Teresa** (zamykając drzwi na klucz)
Dobranoc!
**Gaston** (j. w. niecierpliwie)
Tereniu!..
**Teresa.**
Już śpię.
**Gaston** (jak wyżej)
Sądzę żeś jeszcze nie całkiem w uśpieniu!...
**Teresa.**
Przepraszam, śpię wybornie.
**Gaston** (jak wyżej)
Niech porwą szatany...
Żoneczko, chciej się zbudzić!... pośpiech nie
[udany;
Ja mówić z tobą muszę.
**Teresa** (otwiera drzwi)
Wejdź więc, gdyś uparty.
(Gaston w kapeluszu na głowie, w surducie zapiętym aż pod szyję, ukazuje się w progu, lichtarz trzyma w ręku. Wchodzi spiesznie, świecę stawia na konsoli ale jej nie gasi.)

SCENA TRZECIA.

**Teresa — Gaston.**
**Gaston** (obrażony)
Co mają między nami znaczyć takie żarty?
Czy to wybryk klasztorny?
**Teresa.**
Oh! nie z łaski Nieba.
**Gaston** (stawia kapelusz na toalecie)
Sam nie wiem, czy się gniewać, czy śmiać się
[potrzeba?
**Teresa** (siada)
Śmiej się pan albo gniewaj... zdążaj wprost do
[celu!
(Gaston przechadza się wzdłuż i wszerz; chwila milczenia.)
Najlepiej wszakże będzie... usiąść w tym fotelu.
**Gaston.**
Dziękuję.— Nie chcę siedzieć.
**Teresa.**
Więc postoisz może?
**Gaston.**
Postoję. Lecz dwa słowa pozwól niech przełożę.
**Teresa.**
Pozwalam!
**Gaston.**
Wuj przyjechał.
**Teresa.**
Już dawno wiem o tem.
**Gaston.**
Może wiesz także jakim znaglony kłopotem
W zimie nawiedza Paryż.
**Teresa.**
Nie wiem.
**Gaston.**
Lecz, jedyny
Wujaszek, nie przyjechał bez żadnej przyczyny.
**Teresa.**
Musiał zatem mieć powód.
**Gaston.**
Ja się niepokoję
Czyś ty go nie ściągnęła?

**Teresa.**
Ja?
**Gaston.**
Lub listy twoje.
**Teresa.**
Wątpię, by moje listy taką władzę miały.
**Gaston.**
Któż wie?
**Teresa.**
Wuj chciał cię widzieć i w tem powód cały.
**Gaston.**
A więc na karb czułości chyba przyjazd złożę?
**Teresa.**
W swoim zamku się nudzi...
**Gaston** (z humorem)
Tak, tak; to być może.
(Bierze kapelusz i zbliża się ku drzwiom)
**Teresa.**
Idziesz spać?
**Gaston.**
Tak, dobranoc!
**Teresa.**
Śpij spokojnie!
**Gaston** (zatrzymuje się w progu)
Ale...
**Teresa.**
Czy mi jeszcze co powiesz?
**Gaston.**
Bynajmniej... nic wcale!
(Po chwili namysłu, stawia kapelusz na konsoli i powraca do Teresy).
Wujowi jutro rano czem rozjaśnisz lica?
**Teresa.**
Mów raczej, co chcesz żeby skryła tajemnica?
**Gaston.**
Nic nie taję.
**Teresa.**
Ja także.
**Gaston.**
Wnoszę zatem śmiele,
Że nam się jego rady nie zdadzą na wiele.
**Teresa.**
Jakież chcesz pan, ażeby dawano nam rady?
W naszym sposobie życia pewno nie ma wady;
Ja w nim, zarówno z tobą, żadnej nie chcę [zmiany;
Pragnąc go zreformować, błądzi wuj kochany.
**Gaston.**
Czy żartujesz?
**Teresa.**
Bynajmniej, wprawdzie liczba mała
Serc zacnych i szlachetnych jeszcze pozostała,
Tych szczerze zakochanych, co złączeni wiecznie
Wcale się nie rumienią kochając statecznie,
Których życie spokojne, cichym trybem leci
Śród prawdziwego szczęścia i rozkosznych dzieci
Lecz to szczęście prostacze, pomimo pochwały,
Aby nas mogło skusić, ma urok zbyt mały;
Przebywamy w Paryżu i choć wuj połaje
Nas dzisiaj śmieszą tylko stare obyczaje.
Bo jakaż to najczęściej spotyka nas kolej?
Zaledwie się dziewica z klasztoru wyzwoli,
Jak ptak wypuszczon z klatki, gdy skrzydła [rozwieje,
Jej młode serce nowe wytwarza nadzieje,
Wierzy w urocze szczęście, w miłość wierzy [szczerze.
Świat ją z zimnym uśmiechem w swe objęcia [bierze;
Wnet zjawia się konkurent miłością pancerny,
Młody, szlachetny, grzeczny, uległy i wierny;
O takim się marzyło!... Któż odmówić wstanie
Ręki, na której skromne kładł pocałowanie?
Ufa się jego słowu, dzieli sercem czułem —
I wesoło się żony ozdabia tytułem!
Stało się! — czas upływa, nie ma szczęścia [więcej!
Bo któż może w miłości przeżyć sześć miesięcy
Widując się codziennie? Nuży się głęboko,
Zostając ciągle razem, wszędzie oko w oko;
Każde ze swojej strony szuka sobie rady;
Jak żyć dalej, powszechne nauczą przykłady.
Ideał męża, bardzo zwykłym jest człowiekiem
Obojętnym i zimnym i starym przed wiekiem,
Co wiedzie życie w dawnych swych przyjaciół [gronie,
W rozpuście tracąc resztki miłości ku żonie,
Która biedna ze śmiechem szuka pocieszenia,
Suchem okiem ścigając rozpierzchłe marzenia.
Jej uczucie wygasa, lód ścina jej serce!
Gdy są dzieci, te zdala żyją w poniewierce
W wiejskiem ustroniu, obcej oddane kobiecie!
Żona w Paryżu matką nie może być przecie!
To też wujaszek próżno swych starych zdań [broni,
To reguła.— Najlepiej stosować się do niej.
Nie sądź zatem bym przed nim wywodziła żale;
Będę milczeć, Gastonie — nie lękaj się wcale.
**Gaston.**
Ależ owszem! opowiedz mu swoje strapienia!
Biegnij, zalej go łzami w chwili przebudzenia,
Padnij mu nawet do nóg, proś słuszności, łaski!
Lecz niech raz między nami skończą się nie- [snaski,
Każ przywieźć twoje dziecię; miej o niem staranie
I niechaj się to nawet jeszcze dzisiaj stanie,
Ja się zgadzam na wszystko! Tylko z tej przy- [czyny
Mniej często będziesz miała moje odwiedziny.
Nienawidzę hałasu i głośno wyznaję,
Że wrzaskliwy aniołek brzydkim mi się zdaje;
Na honor, co za roskosz, czuć się każdej chwili
Niewolnicą dziecięcia, co się maże, kwili!
To radość niewymowna, to dyabelnie słodko
Co noc z nieutuloną nosić się pieszczotką,
Koić niewinne troski, z łez osuszać lica!..
Dziękuję! mnie to szczęście wcale nie zachwyca.
**Teresa.**
Rozumiem, i wyznaniu wierzę z chęcią całą:
Tobie lepiej twe noce śród gry wieść przystało!
A we dnie, cóż zajmuje i serce i głowę?
Przedmiot pełen słodyczy... obroty giełdowe!
W progu greckiej świątyni, co ma złą opinię,
Bez żadnego zajęcia mile młodość płynie,
Bo z jakąż przyjemnością w roskoszy się tonie,
Gdy się w dymie cygara zapomni o żonie!..
**Gaston** (półgłosem, śmiejąc się)
Jeśli cygaro dobre.
(Siada)
Czy zechcesz wzajemnie
Posłuchać?.. Poco mamy sprzeczać się daremnie
Powiedz, czy ci możliwa szczęśliwość nieznana?
Czy ja jestem złym mężem? czy masz we mnie [pana?
Czym w użyciu praw moich poszedł zadaleko?
Albo też czy niezręczną trudzę cię opieką?
Czy kiedy w twych pokojach plądruję nagannie?
Czy cię mój wierny argus ściga bezustannie?
Nie jest-żeś całkiem wolną? Niechże z drugiej [strony
I ja będę od twojej opieki zwolniony.
Pozwól mi żyć i działać według własnej woli,
A co na to świat powie, niech cię to nie boli!
Mniejsza, jeśli nas ludzkie źle osądzą zdania
Skoro to od zbyt znanych wymówek ochrania.
Do mojego szacunku masz tak wielkie prawa,
Że mi zemsty z twej strony nieznana obawa;
Sądzę żeś nadto w dumę i w rozum bogata
By mnie uczynić mężem, którym świat pomiata.
**Teresa.**
Ah! doprawdy?
**Gaston.**
Tak, całkiem na ciebie się zdaję.
**Teresa.**
Jestem wdzięczną, dziś ufność tak rzadką się [staje.
**Gaston.**
Pożycie nasze, tylko nas samych dotyczy,
I sądzę — chociaż zrobię tak jak pani życzy—
Że nasze tajemnice zrzędy nie dobiegą.
**Teresa.**
Co—zrzędy? Czy tak wuja nazywasz swojego?
**Gaston.**
Tak jest; jak wszyscy starzy, równy im w tym [względzie
Udzielać nam rad mądrych zbyt ochoczym bę- [dzie.
Lecz ma sposób widzenia niezgodny z epoką:
Wszystko go razi, gniewa, oburza głęboko.
To nowy Katon, godzien by żyć w dawne wieki
Ale od naszych pojąć jakże on daleki!
Jeśli usłyszy skargę albo łzę zobaczy,
Biada nam! już stąd słyszę jego krzyk rozpaczy!
Więc tydzień próżnych narad, których wielkie [słowa
Giną marnie, bo nikt ich w pamięci nie chowa!
Chcąc uniknąć takiego potoku wymowy,
Potrzeba przeciw niemu mieć środek gotowy:
Starajmy się by szczęście czytał nam na czole,
I wznówmy dziś dla niego zakochanych role.
**Teresa.**
Co?
**Gaston.**
Że powitać wuja tutaj warto może...
**Teresa.**
Cóż stąd?
**Gaston.**
Stąd, że gdy trzeba, jaśniej rzecz wyłożę:
Chcę wuja w twoim progu przyjąć, i w tym celu
Pragnę noc, aż do rana, spędzić w tym fotelu.
**Teresa** (wstaje)
Wszakżem ja tu u ciebie, jesteś tutaj panem...
**Gaston.**
Pozwól tylko pozornie szczycić się tem mianem.
Wychodzę zmienić odzież i wkrótce się stawię.
**Teresa** (wskazuje albumy leżące na konsoli)
Albumy mogą służyć ku nocnej zabawie.
**Gaston.**
Dziękuję... mam wieczorną gazetę w kieszeni.
(Bierze kapelusz i świecę).
Nie wyśpisz się, bo wkrótce świt niebo zrumieni.
(Wychodzi).

*(d. n.)*

# Kilka Słów

z powodu tegorocznej

# WYSTAWY ROLNICZEJ

## w Warszawie.

(Ciąg dalszy).

III.

Plac Ujazdowski przybrał w ciągu kilku tygodni poprzedzających wystawę, postać całkiem od zwykłej odmienną. Przeobrażał się on stopniowo zanim go przedstawiono światu w tej strojnej sukience, którą przywdział na przyjęcie wystawowych gości. Naprzód tedy, otoczono go parkanem, później z poza tego parkanu poczęły się tu i owdzie ukazywać dachy i daszki, na środku placu, na wprost głównego wejścia, jakby za dotknięciem czarodziejskiej laski, na małym, zielenią otoczonym wzgórku urządzony wodotrysk, wyrzucać zaczął w powietrze tysiące kryształowych kropel; przed pawilonem przeznaczonym na pomieszczenie płodów ogrodnictwa i przemysłu wiejskiego, jakby nagle z ziemi wyrosły dwie szkółki drzewek owocowych; po obu stronach pawilonu sędziów rozsiadły się cztery gustownie w drzewa, kwiaty i trawniki przystrojone klomby; pawilony z początku z nagich desek złożone coraz wdzięczniejszą przybierały postać, okryły się wieńcami z kwiatów i zieleni i nakoniec po nad tem wszystkiem powiewać zaczęły różnobarwne flagi.

Gdy wreszcie budowa się skończyła, gdy ustał gwar i zgiełk towarzyszący robocie, gdy miejsce stuku młotów i toporów, zajął huk i świst parowych machin, a pawilony pozapełniały się okazami dostarczonemi na wystawę, wtedy nastąpiło uroczyste jej otwarcie.

Zaraz w pierwszym dniu, począwszy od południa, gdy wstęp został już wszystkim dozwolony, tłumy ciekawych snuły się po placu, na którym urządzono wystawę. A trzeba przyznać, że urządzenie jej było wzorowe. Niedosyć, że wszystko zalecało się dobrym smakiem i elegancyą, ale nadto w samem ugrupowaniu zachowano pewien ład wewnętrzny, który wielce ułatwiał systematyczne obejrzenie tego wszystkiego z czem wystąpili na pole popisu nasi rolnicy i przemysłowcy.

Po prawej stronie placu, uważając od głównego wejścia, rozpostarło się osiem obszernych pawilonów i namiotów z narzędziami i machinami rolniczemi z rozmaitych pochodzącemi fabryk, a wystawionemi przez panów: Goldenringa; G. Neumana; Lilpopa, Rau'a i Ski; Ławickiego; Warszawską fabrykę machin; Rodkiewicza; Wielogłowskiego i Bocheńskiego; Scholzego i Rephana; za pawilonem tych ostatnich urządzony był wodozbiór, z którego czerpały kotły parowe. Tutaj to pracowały lokomobile poruszając siłą pary różnych systemów młocarnie i sieczkarnie; tutaj można się było zapoznać z wszelkiego rodzaju pługami, bronami drapaczami i t. d.; tutaj wabiły oko znawców wypielacze i siewniki, żniwiarki, kosiarki, grabie i inne narzędzia służące bądź do uprawy roli, bądź do siewu, zbioru i omłotu. A obok tego wszystkiego zabłąkała się tu i owdzie jakaś pralnia mechaniczna, jakiś piecyk pokojowy, a nawet kasa ogniotrwała.

W ogóle można powiedzieć, iż dział machin wyrobu krajowego, obszernie na wystawie reprezentowany, przekonał ludzi znających się na rzeczy, że i przemysłowców chętnych i rozumnych u nas nie brak, i o zdolnego robotnika nie trudno; jednem słowem ta gałęź krajowego przemysłu zdaje się mieć przed sobą świetną przyszłość.

Na wprost wejścia, przy ścianie od strony szpitala ujazdowskiego rozciągał się długi pawilon, w którego dwóch skrzydłach pomieszczono zboża warzywa i ogrodowizny; środek zajmowały płody wiejskiego przemysłu; w głębi urządzono wystawę owoców i kwiatów. Okazy wystawione w tym pawilonie zadziwiały zarówno ilością, jak rozmaitością gatunków i kształtów. Zbóż, jarzyn, warzyw, ogrodowizn i wreszcie najrozmaitszych owoców nagromadzono tyle, że oko nie specyalisty doznawało pewnego znużenia obejmując na raz jeden taki ogrom przedmiotów bardzo do siebie zbliżonych lub przynajmniej w bliskiem będących pokrewieństwie. Zato płody wiejskiego przemysłu budziły powszechne zajęcie i gromadziły ciągle koło siebie znaczną liczbę ciekawych. Bo i czego też tu nie było? Mąki, kasze, piwa, miody, octy, oleje, oliwy i smarowidła, wódki, sery, chleby i o czem tylko zamarzyć można, wszystko się znalazło. Tutaj także, Wyższa Szkoła rolnicza imienia Haliny w Żabikowie, pod Poznaniem wystawiła 180 odmian pszenicy w ziarnie i kłosach; plastyczną analizę pszenicy, słomy pszennej i plew pszennych oraz rozwój pszenicznego ziarna w rozmaitych glebach przy normalnych i nienormalnych warunkach, tudzież szkodniki pszenicy z królestwa zwierząt i roślin. Była to rzecz, ze wszech miar godna uwagi i pochwały, tymbardziej, że cały zbiór ułożony systematycznie i naukowo objaśniały oddzielne katalogi i drukowana a ciekawa wielce monografia pszenicy.

Dalej w tym samym kierunku w niewielkim pawilonie mieściły się płody przemysłu leśnego. Tutaj obok smoły i terpentyny zwracał na siebie uwagę zbiór ładnych i stosunkowo wcale niedrogich posadzek z fabryk Tomasza hr. Zamojskiego ze Zwierzyńca, dalej szły gonty i inne wyroby z drzewa i wreszcie najrozmaitsze wyroby włościańskie z lnu, konopi, drzewa, słomy i t. p.

Resztę tej ściany, tudzież całą od strony miasta i część od strony alei zajmowała galerya, w której pomieszczono bydło rogate. Było tu okazów mnóstwo a z tych wiele prawdziwie godnych widzenia, jak np. para wołów roboczych niezwykłej siły i wielkości, piękne i wielkie buhaje, oraz krowy odznaczające się obfitą wydajnością mleka. Przeważnie spotykaliśmy się z rasą holenderską i szwajcarską, rasa krzyżowana nieźle się także przedstawiała, ale natomiast rasa krajowa bardzo słabo była reprezentowaną.

Dalszy ciąg tejże samej galeryi od strony alei, tudzież całą galeryą idącą w tymże samym kierunku, lecz wysuniętą nieco ku środkowi placu, przeznaczono na owczarnie. I tutaj rasa krajowa przedstawiała się w małej liczbie okazów, przeważną bowiem większość stanowiły owce: negretti, escurial i otrzymane z krzyżowania tych dwóch ras między sobą.

Podobną galeryą z przeciwnej strony placu oddano na pomieszczenie nierogacizny. Pierwsze miejsce trzymały tu okazy rasy angielskiej *yorkshiere*, które dochodziły do niewidzianej dotąd u nas wielkości. Wystawców nierogacizny nie było bardzo wielu, ale za to zaprodukowane przez nich okazy świadczyły wymownie, że ta gałęź gospodarczego przemysłu może się u nas z korzyścią rozwijać.

Dwie galerye, między nierogacizną i owczarni, wysunięte bardziej ku środkowi placu przeznaczono na pomieszczenie koni. Tutaj większa już była rozmaitość; widzieliśmy konie angielskie, arabskie, krwi mięszanej i wreszcie rasy krajowej; jedne z nich przeznaczone do wierzchu, drugie do powozu, inne znów do ciężkiego pociągu i nakoniec do stada, a z każdego rodzaju były okazy godne widzenia, a niektóre z nich odznaczały się rzeczywistą pięknością.

Drobiu w ogóle dostarczono mało, to też pomieszczono go w niewielkim pawiloniku od strony szpitala. Dziwna rzecz, iż w kraju naszym znalazło się zaledwie siedmiu czy ośmiu wystawców drobiu, we wszystkich jego gatunkach. Okazy, które dostarczono, zasługiwały rzeczywiście na uwagę, ale wszystkiego było niesłychanie mało.

Kilku wystawców przedstawiło: psy, pomiędzy któremi nie zauważyliśmy nic odznaczającego się, ani pod względem rasy ani pod względem gatunku.

Rybołóstwo figurowało tylko w programie wystawy, na placu bowiem nie widzieliśmy żadnego okazu z tego oddziału, podobnie jak nie było również reprezentowane gospodarstwo pijawczane.

Pszczoły i pszczolnictwo zajmowały klomb przed pawilonem przeznaczonym na jedwabniki i nieco miejsca w samym tym pawilonie. Ciekawi podziwiali tu różnych systemów ule i przypatrywali się procesowi wyrabiania miodu; a trzeba przyznać, że wystawcy dali dowody, iż gorliwie się zajmują pszczolnictwem krajowem.

W pawilonie jedwabników, postęp tej młodej u nas jeszcze gałęzi przemysłu był bardzo widoczny a rezultaty pracy wystawców nader pocieszające. Ogólną uwagę zwracała na siebie rozwijalnia jedwabiu z kokonów, będąca ciągle w ruchu, a przedstawiona przez pana Adolfa Boguckiego w Warszawie.

Środek placu wystawy zajęły pawilony pp. Skoryny, Troetzera, H. Neumana, Towarzystwa Przemysłowiec leśny, Mintra, i piękny i gustownie urządzony pawilon warszawskiego asfaltowego przedsiębierstwa. Tu i owdzie, przy tym lub innym pawilonie pod osobnym namiotem przedstawiały się oku powozy ze znanych naszych fabryk pp. Rentla, Romanowskiego i innych.

Na lewo od głównego wejścia, w obszernym pawilonie przemysłowców krajowych i zagranicznych, utworzył się istotny bazar, w którym, śmiało rzec można, niczego nie brakło. Tu, wszystko było zajmujące i piękne, to też przez cały czas trwania wystawy gromadziły się tu tłumy ciekawych, bo każdy nawet niespecyalista znaleść tu mógł coś takiego co go zająć, co mu się podobać musiało. Zwiedzanie wszakże tego pawilonu było trochę niedogodne z tej przyczyny, że wystawione okazy nie były podzielone na żadne działy, rozklasyfikowane, ani ułożone podług jakiegobądź systematycznego porządku, co sprawiało, że z jedną rzeczą można się było spotkać razy kilka, coraz to w innem miejscu. W pobliżu tego pawilonu p. Herkner wystawił swój kamień litograficzny i na poczekaniu odbijał widok wystawy, a z drugiej strony p. Manzel przedstawił swój mostek kamienny, bardzo praktyczny i inne wyroby z krajowego kamienia.

Sam środek placu poświęcono na wzniesienie pawilonu sędziów. Był to budynek piękny w całem znaczeniu tego wyrazu, wykonany z gustem i znajomością sztuki. Odznaczała się zwłaszcza ornamentacya p. Martiniego, wyroby asfaltowe mozajkowane i odlewy posągów i figur.

Na zakończenie zostawiliśmy sobie pawilon hr. Ludwika Krasińskiego położony na wprost trybuny sędziów pomiędzy dwoma galeryami, w których umieszczono konie. Była to wystawa w wystawie; w pawilonie tym znajdowało się wszystko a wszystko co było — było dobre i piękne. Urządzenie tego pawilonu, który był ozdobą wystawy, tak ze względu na wzorowy porządek, jaki tam panował, jak i ze względu na ilość i jakość okazów, przynosi prawdziwy zaszczyt wystawcy, który w każdej gałęzi gos-

podarstwa i przemysłu wiejskiego zdołał złożyć dowody takiej znajomości rzeczy i istotnego postępu.

Na tem kończymy przechadzkę naszę po placu wystawy. (*d. n.*)

---

# Przeznaczenia.

Sceny z życia amerykańskiego,

przez

**Fryderyka Gersteker'a.**

(Przekład z niemieckiego.)

---

(Dalszy ciąg)

Przy stole, do którego zawołano naszych młodych przyjaciół, było najhałaśliwiej. Siedzieli tu naprzeciwko siebie, retman okrętu płynącego do Indyi Wschodnich i bednarz statku dążącego na połów wielorybów, którzy okłamując się wzajem starali się przewyższać jeden drugiego nie dając nikomu przyjść do słowa. Obaj utrzymywali naturalnie, że widzieli węże morskie i inne najdziwniejsze przedmioty, a opowiadania swoje najstraszniejszemi stwierdzali przekleństwami.

Wejście świeżych gości przerwało na chwilę żywe opowiadanie, wszyscy spojrzeli na nieznajomych, w nadziei znalezienia w nich może dawnych przyjaciół lub towarzyszy okrętowych, potem zaś dobrodusznie zrobili miejsce, by przybyli *mates*, którzy bardzo przyzwoicie i czysto wyglądali, mogli usadowić się przy stole.

— *What ship, mates?* było naturalnie pierwszem pytaniem, z jakiem się do nich zwracano, na co Tom już był przygotował swojego przyjaciela. Mieli odpowiedzieć: *looking for a birth*, t. j. właśnie mamy zamiar poszukać sobie okrętu. Tom wiedział, że w takim razie wszędzie znajdą przyjaciół, którzy będą ich do siebie zapraszali. Rzeczywiście też już ze wszystkich stron podsuwano im napełnione kielichy, których przyjęcia nie mogli odmówić, nie obrażając dawców. Cokolwiek przynajmniej z każdego wypić musieli, oprócz zaś tego Tom zamówił dla korzystnego zarekomendowania się *a glass all around*, czyli dla każdego przy stole szklankę, z zapytaniem:

— Czego się napijecie, Mates?

To zjednało im wszystkich, bo *Jak*, jak nazywają marynarzy w ogólności, lubi *otwartą rękę*. Hojność leży w jego naturze dopóki ma pieniądze w kieszeni, kiedy ich zaś nie ma — może również odmawiać sobie wszystkiego i czekać chwili, gdy znów wyjdzie na ląd; wtedy wszakże nie wychodzi już bez pieniędzy.

Tom przyniósł ze sobą dwie krótkie fajeczki, ale te były prawie zbyteczne, bo cygara przedarły się dziś i do marynarzy i nie uchodzą już za *stuck up finery*, jak za dawnych lat. Tytuń jednak, *żuli* wszyscy, nawet Jerzy i Tom, gdyż to było w zwyczaju w najpierwszych kołach stolicy, gdzie uważano to za pewnego rodzaju przyjemność.

Wprawdzie Jerzy musiał się odzwyczaić od tej przyjemności w ostatnich czasach, bo Jenny znieść jej nie mogła. Miała ona zbyt wiele stosunków ze *znakomitymi* cudzoziemcami, którzy uważali to żucie tytuniu za *nieprzyzwoite*, a Jerzy woli jej ulegał. Ale dziś zato, bardzo spokojnie oderznął sobie kawałek z udzielonego mu łaskawie *plug* i włożył go do ust. Należało to do roli, którą dwaj przyjaciele grali tego wieczora, gdyż marynarza, coby nie żuł tytuniu, nie było w Ameryce. Do jutra zaś spodziewał się pozbyć przykrego zapachu, tak, że Jenny nawet się nie domyśli niczego.

Kiedy minęło pierwsze poznanie i przyniesiono świeży grog, rozmowy i opowiadania zaczęły się nanowo i zapanowała wesołość prawdziwa. Gdy wtem młody jeden marynarz, wracający właśnie z Angostury, z nad Orinoko, powziął myśl nieszczęśliwą obudzenia podziwu historyą o aligatorze i przez to w oka mgnieniu ściągnął na siebie gniew dwóch starych żeglarzy. Obaj jednocześnie zakrzyczeli go: Aligatory?—ba!—duże jaszczurki—i nic więcej; toć oni łowili je, jak mówili, wędką w Gangesie i morzu japońskiem—ba! oni mieli nawet do czynienia z krokodylem, z którym nieraz zacięte staczali walki. Taki krokodyl połknął całego aligatora i jeszcze się oglądał czy nie dostanie czegoś więcej! Potem przyszła kolej na syreny w morzu indyjskiem i pomiędzy wyspami korzennemi. Raz spadł z ich okrętu śliczny młody chłopak, pochodzący z wyspy *Marthas Vineyard*—ale zanim na jego ratunek zdążyli wyprawić łódkę, wypłynęła syrena, wzięła go w swoje objęcia i szybko pociągnęła na dno morskie.

— To pewno był ludojad, odezwał się ktoś niewporę, naco jeden z owych żeglarzy, wszelką odpowiedź uważając za zbyteczną, tak pogardliwe rzucił mu spojrzenie, że już nie śmiał mówić nic więcej.

Tom, który tu czuł się w swoim żywiole, opowiadał, iż odbył raz podróż z Nowego Jorku do Nowego Orleanu, że w tem ostatniem miejscu zbiegł z okrętu i przez pół roku ukrywał się w bagnach, gdzie miał najdziwniejsze przygody z niedźwiedziami, panterami i ogromnemi wężami;—ale to przeszło bez wrażenia — polowania na słonie, tygrysy, nosorożce i niedźwiedzie polarne prześcignęły go natychmiast.

Jerzy, jakkolwiek życie to z początku bardzo go bawiło, czuł się jednak zmęczonym. Może też był śpiący, z powodu nadzwyczaj obficie wypitego grogu. Kiwnął na Toma, ażeby odejść, ten jednak zdawał się go nie rozumieć i sam znajdował się w stanie szczególnego podniecenia. Śmiał się i pił razem z innymi, wiele mu się żywnie podobało i właśnie znów zamówił świeżą szklankę *all around*, od której naturalnie i Jerzy nie mógł się wymówić. Miałżeby zostawić tu Toma samego? To nie wypadało w żaden sposób, bo jeśli przyjaciel jego rzeczywiście trochę wypił zadużo, to tembardziej potrzebował jego pomocy.

Żeglarz, który ich tu przyprowadził i którego inni „Boasem" nazywali, siedział koło nich za stołem, a gospodarz tylko co postawił przed nimi trzy szklanki ponczu. Pierwszy podniósł jednę ze szklanek do ust, potem mięszał w niej przez chwilę i kazał sobie wreszcie przynieść kieliszek araku, jak się zdawało, dla uprzyjemnienia napoju. Nikt przytem nie zważał na niego, jakkolwiek on sam oglądał się na wszystkie strony. Skończywszy to swoje zajęcie, włożył prawą rękę do kieszeni, wyjął chustkę, potarł sobie nią czoło i chowając ją odezwał się do Jerzego.

— Pijmy i my, do siebie, Mate, choć z raz..

— Nie mogę już, odrzekł tenże, już i bez tego piłem zadużo. Jestem zmęczony.

— Nie piliście zadużo, Mate, odpowiedział żeglarz, ale wasz towarzysz, tu obok, zdaje się porządnie mieć w czubie i jeśli chcecie mojej posłuchać rady, zaprowadźcie go do domu. Gdzie mieszkacie?

— W mieście—przy—Nassau-Street.

— Więc dobrze—jeszcze to tylko na *night cap*[1]), jak się mówi u nas. Ale weźmy waszego przyjaciela tu bliżej — bo inaczej stąd się nie wydostanie.

Przestroga dobrze była pomyślana i udzielona zupełnie wcas, dlatego też Jerzy wstał, chcąc by Tom poszedł za jego przykładem.

— Hallo, Jerzy, dokąd? zawołał Tom, skoro go spostrzegł, siadaj sobie, chłopcze, tak młodo już się nie zejdziemy i tak wybornego towarzystwa także pewnie nie znajdziem tak prędko. Hurrah, *shippmates*, niech żyje morze, niech żyje ocean błękitny!

— Słona woda, grok bez cukru i araku rzekł sucho jeden z wyprawy na połów wieloryba; niech dyabli wezmą morze, już mi obrzydło, a wolę cały rok być na lądzie, jak jeden dzień na spalonym pokładzie—ale co to pomoże, już żaden z nas nie nauczy się ani kopać, ani łopatą robić, a długo chodzić piechotą, to też nędzny zarobek, więc niech i tak będzie: *Here is to the sea!* i duszkiem wychylił podaną szklanicę.

— Mam ci coś do powiedzenia, Tom, zawołał Jerzy, zwracając się do przyjaciela swego, chodź tylko na chwilę.

Tom patrzał się na niego i potrząsał głową, Jerzy jednak kiwał nań tak wytrwale i tak wyraźne mu dawał znaki, iż pomyślał wreszcie, że ma mu coś szczególnego do powiedzenia, wstał przeto i, jakkolwiek nie bez trudności, zbliżył się do Jerzego. Ten ostatni zauważył, że Tom był podchmielony, chcąc go zaś powolniejszym uczynić, szepnął mu:

(*d. c. n.*)

[1]) Szlafmyca.

---

# ROZMAITOŚCI.

---

**Dokument.** Do dziejów krótkiego i kłopotliwego panowania króla Stanisława Leszczyńskiego, za dobrą w swoim rodzaju ilustracyą posłużyć może dokument, który tutaj wiernie z zachowaniem ortografii oryginału, powtarzamy:

„Dajemy niniejszą Assekuracyą Naszą Szlachetnemu Janowi Loupiemu Woytowi Miasta Naszego Starey Warszawy, iż według porachowanych y podpisanych Regestrów aż do dzisiejszego dnia inclusive, pobranych różnych z sklepu iego (na potrzebę Naszą własną, Królowey Jey Mości, y Xiężnej Jey Mości Matki Naszey) Towarów; winni zostaiemy Dwadzieścia Tysięcy trzysta Ośmdziesiąt y ieden Tynfow, y groszy iedenaście. A że IM Pan Piotr Bruno Sekretarz Nasz y Metrykant honorowy do rąk własnych Podskarbiego Naszego wyliczył, y pożyczanym sposobem rzetelnie na potrzebę Naszą dał gotowych pieniędzy Talerów bitych in specie et numero dwa Tysiące Trzysta, tedy tęż summę 2300 in eadem specie et numero, z provisią ośm pro cento na Rok, y w zwysz położone Tynfow— 20381„— 11 g— iako nayprędzey zupełnie y rzetelnie oddać obliguiemy się, w których Summach dla Lepszey pewności w zastaw do pomienionego P. Loupiego popieczętowane kleynoty spodkiem każda sztuka z osobna, pieczęcią Xiężnej Jey Mości, Matki Naszej, według iego karty Nam oddaney tak długo aż wszystkie te summy z provisią wypłacone będą; oddaiemy. To iest krzyż z sześć diamentów Raut y z wielkim kolanem, item tablica z szesnaście diamentow Diksztein, item para zauśnic w każdey zauśnicy dwa diamenty raut. Na co się dla lepszego warunku Ręką własną przy zwyczayney pieczęci podpisuiemy."

Anno 1704 datum w Warszawie, die 12 Augusti.

*Stanisław*, Kròl.

(Pieczęć herbowa z koroną królewską.)

---



Druk Burzyńskiego i Czerniejewskiego, Nowy-Świat Nr 57. — Дозволено Цензурою. — Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**

# PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom drugi.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 1.)

I p. Laportaire z rycerskością prawdziwego Francuza, głęboko się skłonił i spojrzał na nią z współczuciem którego nie mógł wyrazić.

— O jedną rzecz proszę pana, rzekła Klaudya; powiedz mi czy jest niebezpieczeństwo? Lekarz się zawahał.

— Mój Boże! odpowiedział, trudne to jest pytanie. Niebezpieczeństwo istnieje z jednej strony, a z drugiej niema niebezpieczeństwa. Mąż pani jest nadzwyczaj osłabiony; prawdopodobnie wiele krwi utracił kiedy został ranny, a siły nie mogły powracać, gdyż złe nie zostało usunięte i skrycie nurtowało. Teraz nagłe wysilenie rozdrażniło ranę i nastąpiła gorączka. Jak długo potrwa ta gorączka? czy siły są dostateczne żeby ją przemódz? czy rana się rozjątrzy? Kiedy mi się pani pyta czy jest niebezpieczeństwo, mogę tylko wskazać te możliwości, nie mogę przewidzieć co za sobą pociągną.

— W każdym razie zrobisz pan wszystko co natchną sztuka i doświadczenie?

P. Laportaire znów się ukłonił i przycisnął rękę do serca.

— Pani, powiedział ze wzruszeniem, zrobię wszystko co będzie w mojej mocy.

I obiecawszy że powróci nazajutrz z rana, lub w każdej chwili w nocy, jeżeliby uznała potrzebę przywołania go, odszedł.

Tymczasem wesołe odgłosy napełniające wieczorem miasto, ucichły po trochu, jak ucichły dnia poprzedniego. Muzyka wojskowa odegrała na rynku ostatnią sztukę i powróciła do koszar, słuchacze rozeszli się, kawiarnie zostały zamknięte, pusto się zrobiło na ulicach, i cienie i spokój nocy okryły znów miasto.

Widząc że De Benham ciągle spał tym snem niespokojnym w który wpadł od chwili kiedy gorączka się ukazała, Klaudya wzięła pióro i chciała użyć kilku tych smutnych godzin czuwania na pisaniu listów. Przez cały dzień myślała że obowiązkiem jej było napisać do matki męża, ale dotąd dla dwóch przyczyn, nie uczyniła tego; naprzód, w nadziei że kiedy nadejdzie zmiana, będzie ona na lepsze, a powtóre, z obawy żeby lady De Benham w swej niespokojności nie podążyła za niemi do Abbeville. Czuła, że trudno byłoby jej znieść ten jej przyjazd, bo postanowiła już w sercu swojem, że, o ile to będzie możliwem, chory tylko przez nią będzie pielęgnowany. Sama myśl że osoba posiadająca prawa matki mogła jej odebrać ten obowiązek, zdawała jej się nie do zniesienia. Dotąd przynajmniej wyłącznie do niej należał, i może nigdy tak zupełnie do niej należeć nie będzie.

Jednakowo, pomimo wstrętu jakim ją napełniała myśl zrzeczenia się tego obowiązku, bo zanadto dobrze znała swą dumę żeby nie być pewną że raczej go się wyrzecze niż z inną go podzieli, kiedy tylko doszła po przekonania że obowiązkiem jej było wszystko powiedzieć lady De Benham, usiadła żeby do niej napisać.

Ale kiedy skreśliła u góry słowa: Abbeville, 26 kwietnia 1862, a trochę niżej: Droga lady De Benham, zatrzymała się z piórem w ręku, nie wiedząc co dalej mówić. Nie był to w samej rzeczy list łatwy do napisania. Czuła że trzeba było prawdę powiedzieć z całą otwartością, ale pragnęła tak ją wyrazić, żeby jak najmniej zatrwożyć lady De Benham. Nie wiedziała także o ile ta prawda była już znaną matce męża. Zdawało się nieprawdopodobnem, żeby powróciwszy wprost z Horty do domu, De Benham ukrył i mógł ukryć rzeczywisty stan swojej rany. Z drugiej strony tak kochał matkę, że jeżeli mógł tylko wytrzymać w milczeniu...

Ale kiedy jej myśli tak wędrowały, usłyszała słaby jęk od strony łóżka i odwróciwszy się ujrzała De Benhama z oczami otwartemi patrzącego na nią. Położyła pióro i poszła do niego.

— Klaudyo, powiedział, czy to ty? I głos jego był tak słabym że zaledwie go dosłyszała.

— Tak, to ja jestem. Czy ci wygodnie. Czy poprawić poduszki.

— Daj mi się napić.

Podała mu napój przygotowany przez doktora, dolawszy do niego ciepłej wody grzejącej się na kominku i łagodnie podnosząc jego głowę.

— Która godzina? zapytał, kiedy, wypiwszy z chciwością, opadł znowu na poduszki.

— Dziesięć minut przed pierwszą. Jesteśmy w Abbeville, w hotelu.

— Tak, przypominam sobie. Upadłem tu zaraz po przyjeździe. Zapewne zemdlałem. Czy od tego czasu ciągle spałem?

— Spałeś przez jakiś czas, odpowiedziała Klaudya.

Nie domyślał się widocznie że noc i dzień cały minęły od chwili kiedy upadł.

— I ty przy mnie siedzisz? Dla czego Bruno cię nie zastąpił. Musisz być bardzo zmęczona?

— Nie jestem bynajmniej zmęczona. Czy głowę masz gorącą? I Klaudya położyła chłodną dłoń na jego rozpalone czoło.

— Dziękuję. Jesteś zanadto dobrą dla mnie.

I znów jęknął i zamknął oczy i przez chwilę leżał w milczeniu.

— Co robiłaś kiedy się obudziłem? zapytał niedługo. Czy pisałaś listy?

— Nie, nie pisałam; myślałam tylko co powiedzieć kiedy będę o tem pisać.

— Do kogo? Nie do mojej matki. Klaudyo? Zaklinam cię żebyś... mojej matce... nic nie mówiła.

Powiedział to z siłą i naciskiem i patrząc jej w oczy, jak gdyby chciał sam się dowiedzieć o ile ona znała prawdę.

— Czy nie trzeba jej mówić że jesteś chory?

— Za nic w świecie. Ja sam... napiszę... jutro.

— Lękam się że nie będziesz tak zdrów żeby to uczynić, odpowiedziała łagodnie Klaudya.

— Wszystko jedno, nie trzeba jej przerażać... nie powinna wiedzieć... Daj mi słowo, Klaudyo.

Klaudya chętnie uczyniła obietnicę wymaganą. Niczego mniej nie pragnęła jak zastraszyć lady De Benham.

— Nie dam jej znać że jesteś chory, powiedziała, dopóki sam nie każesz mi napisać.

To zdawało się go zadowalniać i niedługo zaczął niespokojnie drzemać.

Klaudya powróciła do swego pisania, i zaczęła list do pana Hardwicke, ale zaledwie skreśliła kilka wierszy, przyszło jej na myśl że nie powinna nic powiedzieć bratu, coby nie mógł powtórzyć, gdyby lady De Benham zniecierpliwiona oczekiwaniem, udała się do niego o wiadomości. Pomyślawszy więc że lepiej będzie dać pokój listom przez parę dni jeszcze, położyła pióro, i powróciła na swe dawne miejsce na krześle przy łóżku.

Gorączka się wzmagała i rumieńcem okrywała bladą jego twarz; sen jego był niespokojny, rzucał się na łóżku, ręce jego rozpalone poruszały się niespokojnie, i oddech miał krótki i nieregularny. Spał jednak ciągle, a Klaudya, siedząc przy nim, usypiała czasem na kilka minut, budziła się znów i drzemała, i doczekała się chwili, w której światło szarawe jutrzenki ukazało się na niebie.

Nagle, kiedy słońce dopiero co weszło i przeciągły i powolny turkot wiejskich wozów zaczynał się odzywać po ulicach, De Benham obudził się i zawołał głośno:

— Za nic w świecie!

Klaudya leżąc w swojem krześle, na wpół senna, na wpół czuwająca, zerwała się i ujrzała go patrzącego na nią z wyrazem obłąkania.

— Dotąd nic o tem nie wiedziała, ciągnął dalej prędko. Nie trzeba żeby się teraz dowiedziała. Ja sam napiszę. Ale musisz obiecać że jej nie powiesz... musisz obiecać!

— Obiecuję, już obiecałam, odpowiedziała Klaudya uspakajając go.

— Już tyle wycierpiała... droga matka... a Julia... Julia tak nieszczęśliwa. Ale moja przysięga jest świętą... nie mogę złamać mojej przysięgi!

I dalej bez związku w malignie mówił o Benhampton, o Zollenstrasse, o Ptaku Burzy, dopóki znów nie usnął.

Ale to co Klaudya usłyszała rozbudziło ją zupełnie i z większą jeszcze bacznością czuwała.

Kto była, pytała się siebie, Julia? ta Julia tak nieszczęśliwa?

## ROZDZIAŁ XXVIII.

### U bram śmierci.

Dnie mijały, długie i smutne dnie, a De Benham ciągle leżał w tym samym stanie, przechodząc przez wszystkie stopnie powolnej gorączki, to rozpalony, to drżąc od zimna, czasem śpiąc ciężko przez kilka godzin z rzędu, czasem niespokojny, w malignie, przenosząc się wyobraźnią wśród najróżnorodniejszych scen i osób, powracając nawet do dni dziecińtwa swego, kiedy nad wybrzeżem morza w St. Ovens zaczął marzyć o muzyce. Były także chwile w których budził się słaby, zmęczony, zaledwie mogąc mówić, ale zupełnie przytomny. Wtedy, starał się pomimo zupełnego wycieńczenia wyrazić Klaudyi wdzięczność swoją i wielką skruchę, przepraszając ją za kłopot i niespokojność których był powodem, i oskarżając się (nie bez słuszności) o brak szczerości i prawości w swem postępowaniu względem niej.

— Smutny to początek małżeńskiego życia... dla ciebie... Klaudyo, mówił słabym głotem. Nie miałem prawa... cię na to wystawiać. Powinienbym był powiedzieć... prawdę. Ale... miałem wstręt do wypowiedzenia jej, i zresztą... miałem nadzieję... byłem pewny... że przyjdę do siebie... jak wyjadę za granicę.

— I tak będzie, jestem tego pewna, jak tylko będziesz zdrowszy, i będziemy mogli wyjechać, odpowiadała Klaudya.

— Tak... jeżeli jeszcze wyjadę... czasem... zupełnie o tem wątpię.

— Ja nigdy o tem nie wątpię, i p. Laportaire nie wątpi.

— W każdym razie.... żal mi.... że cię zwiodłem.

Odwracał głowę z westchnieniem i Klaudya starała się myśli jego zwrócić w inną stronę. Drugi był przedmiot który niemniej go zajmował w chwilach przytomności, to jest pragnienie ukrycia przed Lady De Benham doniosłości i rodzaju jego choroby. Musiała naturalnie wiedzieć że leżał i był chory (naprzykład na mocną grypę) i że nie mógł jeszcze wyjechać z Abbeville, ale nie chciał pod żadnym pozorem żeby ją niepokojono złemi wiadomościami. Dość na to będzie czasu, mówił, kiedy stan jego się pogorszy i p. Laportaire osądzi że jest niebezpieczeństwo.

Nawet kiedy zanadto był słaby żeby o czem innem mówić, zawsze o tem wspominał, i wejrzenie i głosem swoim starał się dodać siły wyrazom swoim.

Można z tego wymiarkować, że De Benham chociaż wątpił o tem z początku, wiedział teraz że Klaudya znała jego tajemnicę, a tak był już chory, że wiadomość ta raczej ulgą mu była, niż mu nieprzyjemność sprawiała.

Tymczasem ona pielegnowała go i czuwała nad nim z niezmęczoną wytrwałością, czasami dzieląc swe starania z siostrą miłosierdzia, którą przysłał p. Laportaire, czasami wychodząc na chwilkę kiedy spał, żeby odetchnąć świeżem powietrzem, ale po większej części, życie spędzając w jego pokoju i przy jego łóżku. A przez ten czas, spokojne miasto budziło się i zasypiało, muzyka grała na rynku, dzwony w katedrze odegrywały swoje kuranty i smutne dnie mijały, jedne po drugich.

Dzwony te stały się dla niej jakby głosem przyjaciela. Odzywały się ośmioma taktami dziwnej Bretońskiej melodyi, dość wesołej na zwykłym instrumencie, ale szczególnie dzikiej i żałosnej gdy ją dzwony powtarzały. Przysłuchując się im o wszystkich godzinach, wśród nocy gdy panowało głębokie milczenie, w dzień kiedy się wznosiły po nad wszystkie odgłosy życia miejskiego, w przestankach pomiędzy napadami maligny chorego, w krótkich chwilach snu któremu czasem się poddawała, zdawało się Klaudyi że rozumiały myśli jej i im odpowiadały. I wtedy doprawdy (bo serce jej przepełnione było zwątpieniem i smutkiem) śpiew wydawał się smętnym i dzikim.

Bo wiedziała jak gorączka rozpościerała nad nim swe zniszczenie, jak sił mu codzień ubywało: wiedziała że napady maligny były coraz częstsze, że sen ciężki i odurzający w jaki wpadał, trwał coraz dłużej, że chwile przytomności bywały krótsze i rzadsze, i po trochu ale niechybnie, okropna trwoga zaczęła ją ogarniać, trwoga że zaledwie zostawszy żoną, przeznaczoną była niedługo stać się jego wdową.

Zdawało się jej jednak niepodobieństwem żeby umarł, żeby umarł teraz i w podobnych okolicznościach, nie poznawszy jej prawie, nie wiedząc że go kocha, nie zacząwszy ją także kochać ze swojej strony. Nie mogła uwierzyć żeby Opatrzność tak okrutnie z nią mogła postępować.

Do tych obaw i niespokojności, dwie inne się wkrótce dołączyły, obawa że przekraczała przeciwko swym obowiązkom i nawet przeciw honorowi, trzymając tak długo matkę męża w nieświadomości rzeczywistego jego stanu, i obawa że kochał dawniej i dotąd, i umrze kochając inną kobietę, o której nic, oprócz imienia nie wiedziała. A imię to było Julia. Ale kto była Julia? Gdzie mógł ją znać? Czy w Anglii? czy w Niemczech? w Stanach Zjednoczonych? Czy matka jego ją znała? Czy był z nią zaręczony? Czy ją kochał i był jej niewiernym i tym sposobem uczynił ją nieszczęśliwą? Julia... było to ładne imię, nie niemieckie imię, ale Shakespeare był bardzo czytany w Niemczech, i imię bohaterki jednej z jego tragedyj mogło być nadane młodej dziewczynie urodzonej nad Renem lub Elbą. W ogóle Klaudya gotową była wierzyć, i pragnęła wierzyć, że ta Julia której imię w tak dziwny sposób wyszło z ust De Benhama, a później dwa lub trzy razy jeszcze przez niego zostało wymówione, była tylko przedmiotem dziecinnej i chwilowej miłości, za czasów studenckich.

Nareszcie jednego dnia popołudniu, kiedy od piętnastu godzin po kolei, to majaczył w gorączce, to spał snem niespokojnym, przyszedł do siebie i patrząc na nią powiedział:

— Klaudyo... dobrzebyś zrobiła... mówiąc jej... żeby przyjechała.

— Napiszę na wieczorną pocztę jeżeli sobie tego życzysz.

— Tak... i powiedz jej... żeby zaraz przyjechała.

— Dobrze; ale w każdym razie uczyniłaby to.

Nic na to nie odpowiedział, tylko zmęczony zamknął oczy i znów usnął.

Klaudya zamiast napisać do matki męża, ułożyła w tej chwili depeszę telegraficzną dobierając i ważąc starannie każde słowo.

— Droga Lady De Benham (napisała, Droga Lady De Benham, chcąc tym sposobem złagodzić nagłe wrażenie i uczynić wiadomość mniej niepokojącą), Temple jest ciągle bardzo słaby i gorączka ciągle trwa. Niemamy nadziei wyjechania przed kilkoma tygodniami. Chciałby cię widzieć i kazał mi napisać, ale wiem że będziesz wolała żebym telegrafowała. Proszę cię, nie trać czasu, bo twoja obecność wiele dobrego uczyni. Nasz kuryer będzie na ciebie oczekiwał w Boulogne, w dniu i godzinie które naznaczysz.

To napisawszy posłała Brunona do bióra telegraficznego i uczuła się spokojniejszą. Nic nowego się nie zdarzyło do dziewiątej; wtedy De Benham obudził się znowu i zawołał na nią po imieniu. Siedziała przed kominkiem, na ziemi, oparłszy rękę i głowę o sofę i drzemała, ale zerwała się w tej chwili i poszła do niego.

— Klaudyo, rzekł głosem słabym, tak słabym że musiała się nachylić żeby usłyszeć jego słowa, odbudujesz dawny zamek... kiedy mnie nie starczy.

— Razem go odbudujemy, i teraz go już odbudowywamy, odpowiedziała biorąc w swoje ręce jego rozpalone i wychudłe dłonie.

Ale nie zważał na tę odpowiedź.

— Powinnaś pójść za mąż, mówił dalej, zajęty tylko swojemi myślami. Powinnać pójść za mąż... drugi raz.

Potrząsła głową i próbowała się uśmiechnąć.

— I twój mąż... twoje dzieci... powinni przybrać nazwisko De Benhama. Czy obiecujesz?

— Jakże to być może? Jakże mogę czynić podobne obietnice?

I Klaudya, chociaż mówiła bardzo spokojnie, czuła w gardle pewne ściskanie, do którego nie była przyzwyczajona i z którem musiała walczyć.

— Możesz to uczynić... dla mnie... dla twego własnego szczęścia. Pójdź za człowieka... któregoś rzeczywiście kochała. I jeżeli... jeżeli mam umierać.... umrę.... szczęśliwy... wiedząc że praca moja... nie była daremną.

Klaudya odwróciła twarz i przez chwilę milczała.

— Nie mogę się zobowiązać że drugi raz pójdę za mąż, powiedziała nareszcie, ale to przynajmniej mogę obiecać, że jeżeli to uczynię, zrobię tak jak sobie życzysz.

Palce jego lekko przycisnęły jej rękę, i rodzaj uśmiechu usiadł na jego twarzy, i trzymając ją ciągle za rękę znowu usnął.

Przez całą tę noc i dzień następny spał dużo, i kiedy się budził rzadko kiedy od rzeczy mówił, i po większej części był przytomny i wiedział co się naokoło niego działo. Równie gorąco teraz pragnął przybycia matki, jak wprzódy nie chciał żeby ją zatrwożono. Wiele razy się budził, pytał się Klaudyi czy nie odebrała od niej jakich wiadomości, czy myślała że już była w drodze, czy się jej zdawało że noc przepędzi w Londynie, kiedy najwcześniej mogła przyjechać do Abbeville, i t. p. Klaudya odpowiadała jak mogła na jego pytania, starając się go uspokoić i powtarzając, za pomocą przewodnika kolejowego, że Lady De Benham, jeżeli wyjechała z Monmouth pierwszym pociągiem i nie zatrzymywała się nigdzie, mogła być z niemi między ósmą i dziewiątą z rana, drugiego dnia po odebraniu jej wezwania. I tak w samej rzeczy uczyniła, bo pierwszy jej telegram (który odebrali nazajutrz wieczór) donosił że przybyła do Londynu i natychmiast dalej wyjeżdżała.

Niecierpliwość jego tak się wzmogła, a siły tak były wycieńczone, że Klaudya zaczęła się obawiać że nie potrafi znieść wzruszenia spotkania. Przez całą ostatnią noc, trzecią już po wysłaniu depeszy przez Klaudyą, zrywał się ciągle ze snu, rachował godziny i skarżył się że dzień nigdy nie przyjdzie. Przyszedł nareszcie, i kiedy się obudził z niespokojnego snu, słońce świeciło; kazał wtedy firanki odsunąć, chcąc widzieć światło dzienne.

— Która teraz godzina? zapytał.

— Szósta. Twoja matka jest już w Boulogne, i czeka na pociąg; będzie tutaj najpóźniej o dziewiątej.

— Jeszcze trzy godziny!

— Tylko trzy godziny. Staraj się jeszcze usnąć, a prędko przeminą.

— A Bruno?

— Bruno pojechał o północy żeby ją przyjąć. Jest już z nią.

De Benham westchnął i zamknął oczy.

— Klaudyo, powiedział po chwili, kochała mnie miłością prawdziwie doskonałą, a ja... ja ją kochałem nadewszystko na świecie.

— Nadewszystko?

I Klaudya to mówiąc, przypomniała sobie tę nieznaną Julię.

— Tak, nadewszystko na świecie. Byłaś bardzo dobrą dla muie, Klaudyo... bądź nią także... dla niej.

— Będę się starała.

— Dziękuję ci. Niech ci Bóg błogosławi!

To wszystko mówił z oczami zamkniętemi, i potem tak długo leżał w milczeniu, że myśla-

ła, że jeszcze usnął. Ale on nie spał, tylko był zmęczony; zanadto słaby żeby trzymać się nieprzerwanego wątku myśli, ostatnie słowa które powiedział, tkwiły mu jednak w pamięci.

Niedługo jednak przemówił, tylko trzy słowa.

— Pocałuj mnie Klaudyo.

Nachyliła się prędko i pocałowała go w czoło, odgarniając łagodnie ręką włosy, i przez chwilę palce jej zatrzymały się wśród ciemnych zwojów, i usta się jej rozwarły, jak gdyby z nich wyjść chciały słowa czułości i przywiązania. Ale wyrazów tych, jakiekolwiek były, nie wymówiła, odwróciła się owszem, zacisnęła wargi i w milczeniu usiadła na zwykłem miejscu za firanką koło łóżka.

Pierwszy raz go pocałowała, pierwszy raz ją prosił żeby to uczyniła. Czasami, w ciągu ostatnich tygodni przed ślubem, gdy wchodził lub wychodził, żegnał ją lub witał chłodno i obojętnie dotykając się jej czoła ustami, ale nigdy dotąd nie dała mu ani odebrała gorętszego uścisku. Raz tylko serce jego zdawało się pragnąć zewnętrznego objawu miłości, kiedy ucałował jej ramię, gdy wyjeżdżali z kościoła po ślubie.

Wiele razy później, wśród tych długich dni i smutnych nocy spędzonych na czuwaniu, myślała o tem zdarzeniu, przypominała sobie jak wtedy prawie obrażoną się czuła; przypominała sobie wejrzenie i słowa jakie mu towarzyszyły, i zdawało jej się nawet że czuje gorący jego oddech i nagłe dotknięcie jego ust. Wiele razy także kiedy spał, pragnęła mu oddać ten pocałunek, a nie śmiała, żeby go nie obudzić, i nie chciała także dla pychy tak głęboko zakorzenionej w jej sercu.

A teraz kiedy ją prosił żeby go pocałowała, a ona to uczyniła, jakąż wartość miał ten pocałunek? co znaczył? Nie że ją kochał, nawet nie że mu zaczynała być miłą. Poprostu tylko że był wdzięcznym; wdzięcznym trochę za starania jakie o nim miała, ale wdzięcznym szczególnie za obietnicę jaką mu dała. I powtarzała sobie że dbał o nią tylko dla tego, że mogła i chciała dokończyć dzieła będącego celem jedynym jego życia, i być dobrą dla jego matki gdyby jego nie stało. Osobiście, była mu niczem.

Oto myśli które wstrzymały słowa drżące na jej ustach i dla których odwróciła się kiedy jej serce było przepełnione litością i przywiązaniem.

Tymczasem De Benham spał; kwadranse mijały i za każdym dzwony wybijały smutną swą melodyę. O w pół do dziewiątej, kiedy pierwszy pociąg z Boulogne miał przybyć, Klaudya wstała i poszła do drugiego pokoju, zmieniła ubranie, poprawiła włosy i kazała przyrządzić śniadanie w salonie.

Zaledwie to wszystko zrobiła, De Benham się obudził, i zaczął się o nią dopytywać.

— Jest już dziewiąta, mówił niecierpliwie; czyż nigdy nie przyjedzie? Czy będę musiał umrzeć, umrzeć tutaj, nie zobaczywszy jej?

— Cicho! powiedziała Klaudya, podnosząc rękę.

Usłyszano turkot powozu wjeżdżającego na ulicę od rynku, i zbliżającego się dopóki nie wjechał pod bramę i nie zatrzymał się w dziedzińcu. Klaudya w tej chwili wyszła na kurytarz, i ujrzała na drugim końcu Lady De Benham bladą, zadyszaną, zmienioną zmęczeniem i niepokojem.

Obiedwie kobiety spotkały się na pół drogi.

— Czy umarł już? spytała biedna matka, drżąc od stóp do głowy.

— Nie, nie! czeka na matkę, woła o nią. Tędy.

I wziąwszy Lady De Benham za rękę jak gdyby była dzieckiem, Klaudya poprowadziła ją prędko do żółtego pokoju; widziała jak pobiegła do łóżka, usłyszała pierwszy długi, cichy okrzyk na wpół smutny, na wpół radosny i odwróciwszy się od tej miłości i tego szczęścia w których udziału nie miała, zamknęła drzwi i została sama.

## ROZDZIAŁ XXVIII.

### Za późno.

Niecierpliwość oczekiwania i wzruszenie radości szkodliwie oddziałały na chorego i w pół godziny zaledwie po przyjeździe Lady De Benham, stan jego znacznie się pogorszył. Sztuczne siły podtrzymywane gorączką, nagle go opuściły; puls, tak słabo bijący, zdawał się wcale już nie uderzać, i wpadał ciągle w stan odrętwienia i niemocy z którego coraz trudniej było go otrzeźwiać. Dzieło zniszczenia tak szybkim krokiem postępowało, że zdawało się że nie dożyje następnego dnia.

Przez cały ten dzień i przez całą noc, wątpiono o możności zatrzymania go przy życiu. Był zupełnie nieprzytomny; to jest nie wiedział gdzie był, co się z nim działo, kto go otaczał, świat ten był niczem dla niego, ale widział z daleka wybrzeża tej nieznanej krainy ku której słaba łódka jego życia płynęła, słyszał może te odgłosy, na pół ziemskie, na pół niebiańskie, głosy ludzi i głosy aniołów, spotykające się i łączące po nad tą straszną, tajemniczą przepaścią dzielącą dwa światy.

P. Laportaire, przepędziwszy przy chorym dzień cały prawie, połowę nocy także przy nim siedział, a nad ranem sławny lekarz, którego powołał telegrafem z Paryża, przyjechał pierwszym pociągiem. Wielki to był człowiek, w różnorodnem znaczeniu, ten sławny lekarz z Paryża. Był wysoki i otyły; miał wielką głowę i długą brodę, gruby głos i wielkie wyobrażenie o swej powadze. Napisał swoje recepty pismem tak olbrzymiem, że ciągnęło się po papierze jak znak zostawiony przez ogromny owad, który wpadłszy do kałamarza, wydobył się z niego i po papierze się przeszedł.

Lekka odmiana na lepsze ukazała się w stanie chorego, nim znakomity ten mąż się ukazał. Oddech jego stał się silniejszym i regularniejszym, krew chyżej biegnąc po żyłach, ciepło życia w nie wlewała, słaby rumieniec zastępował śmiertelną bladość jego oblicza. Zdawało się że fala życia unosiszy go tak blizko wybrzeży śmierci, nabrała nowej siły żeby go od nich odciągnąć. Natura, młodość, starania pana Laportaire, a może modlitwy gorące dwóch serc niewieścich, uratowały go w tej chwili stanowczej, kiedy zdawało się już że ratunku nie było. Wtedy to, zgodnie z tem wielkiem prawem przeciwieństwa rządzącego rzecami tego świata, wielki lekarz z Paryża zabawiwszy krótką chwilę i dostawszy grubą zapłatę za swe trudy, zabrał także z sobą sławę uzdrowienia.

Przez kilka dni jeszcze zaledwie można było jednak powiedzieć żeby De Benham wyszedł z niebezpieczeństwa. Niebezpieczeństwo to o tyle tylko minęło że, z pomocą Boga i największych starań, uniknąwszy recydywy, można było mieć nadzieję wyzdrowienia. Gorączka wprawdzie go opuściła, ale zostawiła go bezsilnym i równie prawie nieprzytomnym jak dziecko. Spał, budził się, jadł, znów usypiał, nie znając prawie różnicy pomiędzy dniem a nocą, czując tylko koło siebie obecność tkliwej opieki, czułej ręki zawsze gotowej potrzebom jego dogadzać; ale był tak osłabiony, tak rozmarzony, tak mało zważał na zewnętrzne rzeczy, że po większej części nie wiedział i nie miał ochoty wiedzieć, czy ciche stąpanie i troskliwa ręka należały do żony lub do matki.

Wtedy to potrochu stało się to co Klaudya przewidziała i czego się obawiała. Lady De Benham objęła dawne swoje stanowisko, odbierając po jednemu swojej synowej wszystkie obowiązki które ta nauczyła się tak cenić, i odbierając je z uczuciem niezawodnego pierwszeństwa nadzwyczaj bolesnem dla Klaudyi. A jednakowo Lady De Benham, ze swego punktu widzenia miała zupełną słuszność. Jakie były prawa, pytała się siebie, tej obcej kobiety, w porównaniu z temi jakie ona posiadała? Jaką wartość mogła mieć ta chłodna przysięga tak niedawno wyrzeczona, w obec poświęcenia tyloletniego? Małżeństwo ich, wiedziała aż nadto dobrze, było skojarzone dla interesu, dla dumy, ambicyi; serce w niem niemiało udziału. A ona... nie byłaż jego matką? Czy go nie pielęgnowała wśród choroby i nie ubóstwiała w czasie rozłączenia? Czy nie żyła dla niego, nie modliła się za nim, nie pracowała dla niego wśród niedostatku i wygnania, przez liczbę lat dwa razy większą niż liczba tygodni minionych od czasu, gdy zimno i obojętnie złączył los swój z losem Klaudyi Hardwicke?

Trzeba przyznać, chcąc być sprawiedliwemi względem Lady De Benham, że gdyby była przeczuła że żona jej syna pokochała go nareszcie nie dla jego stanowiska, ale dla niego samego, byłaby inaczej działała. Chociaż zadanie to nie byłoby dla niej łatwem, byłaby jej odstąpiła tych przywilejów należących jej się jedynie, jak myślała. Ale nic nie wiedziała o tej miłości i tym to sposobem, zaledwie dwa dni bawiła w Abbeville, już całe zajęcie się chorym przeszło w jej ręce.

Klaudya na to pozwalała, ustępując codzień więcej gruntu, ani słowem, ani obejściem nie zdradzając swych uczuć, szukając ratunku i schronienia w swej dumie i (jak oddawna przewidywała) zrzekając się dobrowolnie tych praw, za które walczyć nie raczyła i których dzielić nie chciała.

W miarę jak dnie mijały i jak siły stargane chorobą powracały, gorycz jej zawodu wzrastała. Widziała jak we wszystkiem De Benham zwracał się do matki a nigdy do niej. Jeżeli mu się pić chciało, jeżeli mu zimno było, jeżeli żądał czego, na Lady De Benham patrzał, narzekając na tę lub ową niedogodność; ona mu podawała napój jakiego pragnął, nakrywała go szalem, poprawiała poduszki. Jeżeli życzył sobie żeby mu czytano, do niej się odzywał: „Matko droga, dokończ tego rozdziału w tej nowej powieści", albo: „Matko droga, czy pamiętasz gdzie staneliśmy w naszym poemacie?" I Lady De Benham przynosiła książkę, usiadała przy nim i trzymając jego rękę, czytała na głos dopóki nie usnął. Nie dosyć na tem. Kiedy matka przynosiła mu to czego zapragnął, lub urządzała rzeczy ku większej jego wygodzie, uśmiechał się do niej, wejrzeniem swojem wyrażał zadowolenie i wdzięczność, ale nic nie mówił. Gdy Klaudya owszem oddawała mu chociażby najlżejszą przysługę, zawsze jej dziękował, jak gdyby dziękował obcej osobie. To ją za każdą razą gorzko bolało.

— Nie dziękuj mi, powiedziała nareszcie jednego dnia, gdy widząc że go światło raziło, spuściła firankę.

— Dla czego nie mam ci dziękować? zapytał zdziwiony.

— Dlatego że mi się zdaje, że przywiązujesz wielką wagę do tego co czynię.

— Ale w samej rzeczy jest to zawsze łaską z twojej strony.

— Nie zdaje mi się.

— Byłbym bardzo niewdzięcznym, gdybym...

Wahał się i zdawał się nie wiedzieć co mówić.

— Nie dziękujesz twojej matce, powiedziała Klaudya uśmiechając się.

— Nie; ale też jest moją matką i zdaje się zupełnie naturalnem żeby to wszystko robiła.

Twarz Klaudyi przybrała wyraz lodowaty.

— Prawda, odpowiedziała zimno, widzę różnicę.

Od tego czasu nigdy nie prosiła żeby jej nie dziękował.

Wtedy to właśnie, kiedy przymus jakiego doznawał w obecności żony okazywał się w najdrobniejszych rzeczach, przywiązanie które De Benham miał dla matki zdawało się codzień nabierać nowej siły. Jeżeli opuściła pokój, dziewięć razy na dziesięciu odzywał się w tej chwili do Klaudyi wyrazami pochwały na jej cześć. Kiedy wracała, twarz jego całkiem się rozpromieniała; głos jego kiedy mówił do niej miał łagodność, a uśmiech wdzięk jakich Klaudya w innych chwilach nie widziała.

— Tak miło jest, matko, widzieć cię tu siedzącą, mówił czasami. Po twoim przyjeździe, kiedy się budziłem i widziałem cię obok siebie, zaledwie mogłem uwierzyć że to wszystko nie było snem.

Innego dnia, kiedy mu czytała, powiedział:

— Wszystko mi jedno co czytasz. Twój głos jest jak głos Kordelii w *Królu Loarze* „zawsze łagodnym, cichym, dźwięcznym, doskonałą rzeczą w kobiecie." Często słucham tylko głosu, nie zważając na to co czytasz.

Nie było nic poziomego ani zazdrosnego w naturze Klaudyi Hardwicke. Wady jej były prawdziwie męzkie. Była dumną, była ambitną, była twardą, ale nie była zazdrosną, ani nawet wymagającą. To wszystko jednak boleśnie ją raniło. Starała się z początku nad tem nie zastanawiać się, powtarzając sobie że Lady De Benham była najlepszą matką, De Benham najczulszym synem i że powinna się cieszyć ich wspólnem przywiązaniem. Ale chociaż starała się wszelkiemi siłami wyrobić w sobie takie uczucia, niepodobieństwem było żeby, gdy tak dalej rzeczy postępowały, nie cierpiała i srogo nie cierpiała. Byłaby cierpiała chociażby go nawet nie kochała. Cierpieniem byłoby dla niej uczucie osamotnienia i wykluczenie, ciągły widok wzajemnego przywiązania w którem żadnej cząstki nie posiadała, przekonanie że była tylko dla nich trzecią osobą i że jej obecność była dla nich przymusem. Ale kochając go tak jak umiejąkochać dumne i zimne kobiety, kiedy na nich ko lej przyjdzie, w milczeniu, ale namiętnie i głęboko, w miarę jak tygodnie mijały, wielki smutek stał się jej udziałem.

Bo im więcej cierpiała, tem więcej kochała, a w miarę jak miłość jej wzrastała, dumniejszą i oziębłejszą się stawała.

Kiedy De Benham potrochu do zdrowia przychodził, a postępy jego w tej mierze były bardzo wolne, zaczęła coraz samotniejsze przybierać zwyczaje; wychodziła sama rano i także popołudniu, bywała na nabożeństwach w katedrze, zwiedzała stare, średniowieczne miasto i pozostawiała syna z matką samych przez długie godziny. Maj już zawitał, dnie były długie, ciepłe, słoneczne, a Abbeville, które w ostatnich czasach, skutkiem przekształceń w guście nowoczesnym, straciło dużo ze swej odrębnej i malowniczej fizyognomii, zupełnie ją jeszcze wtedy zachowało. Klaudya niedługo poznała na pamięć całe miasto: kręte uliczki wijące się wśród wysokich i wązkich domów o wystających szczytach; liczne i spokojne kanały i niemniej leniwie płynącą rzekę; dziwaczne mosty, jedne drewniane a inne kamienne; opuszczone ogrody i letnie domy nad Sommą; zniszczone kościoły które zdawały się z umysłu kryć w najciemniejszych ulicach i w największej oddalonych zakątkach miasta; dawne fortyfikacye, teraz zamienione na wesołe przechadzki, okryte murawą i posrebrzone stokrotkami; ciężkie czółna; dziwnego kształtu wozy, niektóre zaprzężone wołmi, przyjeżdżające co rano ze wsi z zapasami żywności, stare pomarszczone kobiety w czarnych kapturach i płaszczach; mężczyźni w drewnianych sabotach i płóciennych bluzach; policyanci w stosowanych kapeluszach i żółtych wyłogach; kaleka sprzedający gromnice i różańce pod drzwiemi katedry, żołnierze, żebracy, omnibusy, słowem wszystkie widoki, wonie, odgłosy, były jej niedługo tak znane, jak gdyby długie lata tam spędziła. Czasami nawet wychodziła za bramy miasta i przechadzała się po ulicach zasadzonych wysokiemi topolami i wiodących do dworca kolei, do St. Valery, do pola pod Cressy, gdzie pięćset lat temu krwawa bitwa została stoczona.

Ale Klaudya była teraz zanadto niespokojną i nieszczęśliwą żeby rzeczywistą przyjemność znajdować w tych swoich wycieczkach. Widziała piękność i malowniczość przedmiotów ją otaczających, ale ani rozweselenia nie czuła, ani wdzięczność w niej nie została zbudzoną. Jakąż radość mogła czerpać ta dumna i samotna kobieta, przechodząca bez celu tam i nazad, z tajemną boleścią ukrytą głęboko w jej sercu, w tej grze kolorów i cieni, w tych światłach, w tych architektonicznych szczegółach, w śpiczastych dachach, koronkach z żelaza i arkadach odbijających się w spokojnych wodach?

Najwięcej malowniczy widok był jednak ten, który przedstawiał co rano (odbywający się tam raz na tydzień) plac rozległy roztaczający się przed katedrą i zamieniający się na kilka godzin na ogród, napełniony świeżemi kwiatami i owocami i wczesnemi jarzynami. Wszystkie kobiety siedziały przy swoich straganach pod różnokolorowemi parasolami, wyglądającemi jak olbrzymie i rozmaitych barw słoneczniki, a wielka szara katedra wznosiła się z jednej strony, na wpół w cieniu, na wpół oświecona, jakby wspaniała góra rzeźbionych kamieni, okien kolorowych i przezroczystych wieżyczek.

Klaudya dużo czasu przepędzała w katedrze. Bramy jej stały otworem i kilka razy na dzień tam wstępowała, odpoczywając kiedy była zmęczona, marząc i rozmyślając pod ciemnemi arkadami, przysłuchując się znajomym dzwonom, klękając razem z innemi podczas nabożeństwa, modląc się przy odgłosie poważnych organów i śpiewów na chórze. Niedługo znano ją tam dobrze i szwajcar i zakrystyan i inni witali ją przechodząc przyjacielskim ukłonem.

Tymczasem De Benham przechodził przez wszystkie stopnie wolnej rekonwalescencyi. Naprzód zaczął wstawać na kilka godzin wśród dnia, potem ukazał się przy obiedzie, potem przeszedł do drugiego pokoju, a później trochę, przepędzał kilka godzin na balkonie, kiedy czas był ciepły i słońce świeciło. Nareszcie, kiedy siły coraz bardziej powracały, zaczął codzień wyjeżdżać na spacer, a nawet przechadzać się piechotą, wsparty na ręku towarzysza i na lasce. Rana także zagajała się zupełnie, co dotąd nie miało jeszcze miejsca i mógł mieć nadzieję że mu więcej nie będzie dokuczała.

Abbeville nie jest jednak miejscowością gdzie się chętnie przebywa, kiedy zdrowie pozwala dalej się udać, i De Benham, kiedy się czuł silniejszy, pragnął opuścić niewygodny hotel i hałaśliwe ulice. P. Laportaire radził przepędzić czas jakiś nad brzegiem morza; De Benham sam pragnął pojechać do wód w Szwajcaryi, ale dotąd był jeszcze nadto osłabionym żeby znieść długą podróż i narazić się na zmęczenie. Klaudya, słuchając różnych projektów jakie układano, oczekiwała chwili kiedy matka męża oznajmi że powraca do swego domku, w sąsiedztwie Benhampton.

Nareszcie jednego dnia, kiedy Lady De Benham wyszła na miasto, może naumyślnie, mąż i żona pozostali sami. De Benham zapytał się jej czyby nie chciała przepędzić kilku tygodni w Spa, w Belgii.

— Nie mam nic przeciwko żadnemu miej scu które może skutecznie działać na twoje zdrowie, odpowiedziała Klaudya.

— Zdaje mi się że mam ochotę jechać do Spa..

— Słyszałam że kraj ładny i że na rozrywkach tam nie zbywa.

— Tak—i na to trzeba zważać.

Wahał się, spuszczał oczy, bawił się to nożem do przecinania kartek, to książką.

— Nie byłoby ci to zapewnie nieprzyjemnem, powiedział, gdyby moja matka nam towarzyszyła?

Dziwne to było pytanie i dziwnie je De Benham wyraził. Byłby mógł to dużo lepiej w inny sposób powiedzieć, a szczególnie byłby mógł odpowiedź Klaudyi nie tak trudną uczynić.

Zaczekała chwilę, nie dlatego że była zdziwioną, bo się trochę spodziewała tego, ale chciała starannie dobrać słowa jakiemi miała odpowiedzieć.

— Trzeba teraz przedewszystkiem myśleć o tem co tobie będzie przyjemnem, rzekła nareszcie.

De Benham spojrzał na nią niespokojnie; zdawało mu się dostrzedz niejaki przymus w jej słowach, ale twarz jej nic nie wyrażała.

— Niczego nie pragnę... czegobyś ty nie pragnęła, powiedział.

Ale Klaudya nie chciała objawiać rzeczywistych swoich uczuć. Niczego tak mało nie pragnęła jak żeby mieć Lady De Benham za ciągłą towarzyszkę podróży, ale postanowiła nic o tem nie mówić, a nie chciała także okazywać ochoty której bynajmniej nie czuła.

— Jak długo mamy tam zabawić? spytała.

— W Spa? O! kilka tygodni, może pięć lub sześć, dopóki nie będę dość silnym żeby w podróż się puścić.

Klaudya znów zamilkła, pytając się siebie co miała uczynić, co miała powiedzieć? Kiedy Lady De Benham przepędzi z niemi te pięć lub sześć tygodni w Spa, czy na tem się skończy? a jeżeli nie, jakiż tego wszystkiego będzie koniec? Cóż jej przeszkodzi pojechać z niemi nad Ren, a nawet i do Szwajcaryi i później do Włoch? Czy nie byłoby rozsądnem, dobrem, sprawiedliwem, spytać się zaraz jakie będą granice pobytu jej przy nich. Miała z niemi potem zamieszkiwać w Benhampton, od da-

wna było tak postanowionem, ale wprzódy byliby sami rok przepędzili, a teraz nigdy może nie znajdą się sami zupełnie, ucząc się razem kochać się wzajemnie i wzajemnie się uszczęśliwiać. Czyby nie powinna wspomnieć o tem niebezpieczeństwie i o złem mogącem z niego dla obojga powstać, jeżeli go nie zażegnają? Jakże mogła jednak wystawiać mu te powody? Jakże mogła go prosić żeby z nią samą został, jeżeli nie życzył sobie tego zbliżenia? Gdyby stosunki ich kiedykolwiek były ściślejsze, byłoby to mniej trudnem; gdyby, chociaż przez tydzień byli sami pozostali nim zachorował, zadanie byłoby stosunkowo łatwiejszem. Ale byli sobie jeszcze wzajemnie obcemi i choroba jego, chociaż z początku zdawała się być dla nich ściślejszą spójną, rozszerzyła tylko przepaść ich dzielącą.

Prawdziwa przepaść jednak, była to duma Klaudyi. Rozsądek, przekonanie, miłość, wszystko to kazało jej przemówić i skorzystać ze sposobności, ale duma wstrzymywała słowa i zmuszała ją do milczenia. Jakże mogła mówić? Czyby nie wydało się że żebrze o jego miłość?

Myśli te, których rozwój tyle czasu nam zabrał, przeszły przez jej umysł tak szybko, że zdawały się razem wszystkie się przedstawiać, ale ostatnia na nieszczęście była ostatnią i położyła koniec wahaniom. De Benham widząc tylko blade i surowe jej oblicze, nie domyślał się walki toczącej się wewnątrz i nim mógł być uderzony jej milczeniem, walka już skończoną była.

— Czy mogę więc prosić mojej matki żeby nam towarzyszyła? zapytał.

— Owszem.

— Może, gdyby od ciebie wyszło...

Klaudya wstała nagle.

— Dziękuję, powiedziała, uśmiechając się z goryczą której nie mogła ukryć, zdaje mi się że zaproszenie powinno od ciebie pochodzić.

I to rzekłszy, przeszła obok niego i poszła do drugiego pokoju.

De Benham widział ten uśmiech i wątpliwość wkradła się do jego myśli. Może Klaudya niechętnie przystała na jego życzenie; może niedobrze zrobił prosząc ją o to; może uważała to z jego strony za brak uprzejmości i względów jej należnych, a czuł że obowiązkiem jego było zważać przedewszystkiem na to co mogło jej być przyjemnem.

Niespokojny i zaturbowany, zaczekał chwilę i potem wstał i poszedł za nią.

— Klaudyo! powiedział zatrzymując się przed drzwiami jej pokoju.

Ale Klaudya nic nie odpowiedziała.

— Klaudyo, czy jesteś tu?

Widząc że ciągle milczała, otworzył drzwi ale zastał pokoj pusty, szafa była otwartą i drzwi prowadzące na korytarz były odemknięte.

— Cóż robić! powiedział półgłosem, powracając na swoje miejsce, może i tak lepiej. Gdyby dbała o mnie, inna by to była rzecz.

Po chwili lady De Benham, spotkawszy Klaudyę na dziedzińcu, weszła i pierwsze jego słowa postanowiły o ich losie.

— Musisz z nami pojechać, droga matko, powiedział żywo, wszystko już ułożone.

— Ale czy jesteś pewny...

— Że nie mógłbym się z tobą rozstać? Tak, zupełnie pewny. O, gdybyś wiedziała jak tęskniłem za tobą kiedy tak byłem źle! Najokropniejsza moja obawa była że umrę, nie ujrzawszy ciebie.

Lady De Benham usiadła przy synu, wzięła go w swoje objęcia i przytuliła go do siebie, jak gdyby był małem dzieckiem.

— Czy jesteś szczęśliwy, mój synu? zapytała z troskliwością. Czy jesteś szczęśliwy?

— Szczęśliwy! powtórzył. Czemże jest szczęście? Żyć dla pewnego celu i osiągnąć go? Jeżeli tak jest, to jestem szczęśliwy. Uczyniłem przysięgę i dotrzymałem jej. Dziękuję Bogu że mi pozwolił jej dotrzymać.

— Ale, czy dosyć ci na tem?

— Nie, mam coś więcej; mam ciebie droga matko.

— A twoja żona?

— Moja żona? Tak—mam żonę; szacujemy się wzajemnie i szanujemy. Złączyliśmy nasze interesa i zamieniliśmy pewne korzyści i oboje jesteśmy pod temi względami zadowoleni z naszego losu. Ale co do miłości, nigdy nie marzyliśmy o niej i nigdy nie będziemy o niej marzyć. Nie było o niej mowy w naszej umowie.

— Jeżeli dwie osoby prawdziwie siebie szacujące wstępują razem na drogę życia, dziwnemby było gdyby ten szacunek nie przekształcił się w miłość podczas tej wspólnej wędrówki.

De Benham potrząsł głową.

— Droga moja, rzekł, prowadzi przez pustynię.

Tymczasem Klaudya, wziąwszy kapelusz, wyszła pospiesznie i jak zwykle zwróciła się ku katedrze.

Bramy kościoła stały otworem, na placu targowym gwarno było i ludno; wewnątrz katedry cień i milczenie panowały. Weszła, usiadła w ciemnym kąciku i ukryła twarz w rękach.

Wszystko się skończyło, mówiła sobie. Chwila stanowcza minęła; mogłaby była przemówić, nie uczyniła tego, a teraz już było zapóźno, teraz już nigdy nie zdobędzie miłości jego i zaufania, teraz przepaść rozciągająca się pomiędzy niemi, mogła tylko coraz głębszą się stawać i nigdy żadne z nich jej nie przebędzie. A wtedy, gdy pomyślała o życiu leżącem przed nią, o tej miłości która musiała zawsze zostać tajemnicą i o tem osamotnieniu, którego nigdy drugie serce nie podzieli, Klaudya doznała tak okropnego uczucia rozpaczy, że zdawało jej się że w niej wszystko, i serce i umysł, zamiera.

Biedna kobieta! chciała być szczęśliwą według swego ideału. Pragnęła stanowiska i tytułu, nie pragnęła miłości, a miłość, nieproszona, niespodziewana, przyszła jak mścicielka, i te rzeczy za które się sprzedała, zamieniły się w proch i w nicość za jej dotknięciem. Czem były dla niej te herby wydające jej się niegdyś zewnętrznym i widomym symbolem szczęścia ludzkiego? Co jej z tego przyszło że poszła za lorda i że ludzie nazywali ją mylady? Byłaby wszystko oddała, herby, tytuły i ten majątek za który się kupiła, za tę miłość, na zawsze jej teraz odmówioną. Byłaż to kara za jej dumę?

Długo siedziała w kościele, nie zważając na szybko przemijające godziny, czując tylko rozpacz miotającą nią. Śpiewacy na chórze zaczęli ćwiczenia swe odbywać i ciche i poważne dźwięki odbijały się o sklepienia kościelne; pierwszy raz wtedy łzy przyszły ją pocieszyć i długo i cicho płakała.

Kiedy się śpiewy skończyły, wstała, wyszła z kościoła, a potem z miasta i długo chodziła pomiędzy topolami. Raz usiadła na ławce, przy drodze, zdjęła kapelusz i lekki wietrzyk chłodził jej rozpalone czoło, i nie powróciła do do domu dopóki nie odzyskała panowania nad sobą i nie była pewną że ślady łez znikły zupełnie.

Tego samego wieczora De Benham odebrał z Anglii, wraz z innemi, następujący list od Arczybalda Blyth:

Londyn, 26 Maja 1862 r.

*Kochany De Benhamie!*

Z wielką przyjemnością dowiedziałem się że powracasz do zdrowia. P. Hardwicke mówił mi że niedługo dalej pojedziecie; dobra to wiadomość i nie mogę ci wyrazić jak mnie ucieszyła. Ja także mam wiadomość którą chcę się z tobą podzielić i lepszej nigdy ci nie przeszlę. Jestem zaręczony i kiedy ci powiem z kim się mam żenić, zgodzisz się zemną że jestem najszczęśliwszym z ludzi z tej strony Atlantyku.

Narzeczoną moją jest panna Albyne. Kiedy pomyślę jak ładną, dobrą i rozumną jest, zaledwie mogę uwierzyć memu szczęściu. Wiem równie dobrze jak ty że jest dużo więcej warta odemnie, ale kiedy ona na to nie zważa, a ja ją kocham z całego serca, niema co nad tem długo się zastanawiać. Pan Hardwicke, zawsze łaskaw, dał mi do zrozumienia że myśli jeszcze polepszyć moje położenie w swoim kantorze i mam wszelką nadzieję że mój ślub odbędzie się przed Bożem Narodzeniem.

Przypomnij mnie, proszę cię, pamięci mojej kuzynki Klaudyi i przyjmij, kochany De Benhamie najlepsze życzenia zdrowia i pomyślności od twego wiernego przyjaciela.

Arczybald Blyth.

— Oto list który cię zajmie, Klaudyo, powiedział De Benham podając jej go przez stół, bo byli przy obiedzie kiedy przynieśli pocztę. Jestto list od Arczybalda donoszący mi o jego przyszłym ślubie.

Klaudya list przeczytała i oddała go.

— Biedny Arczy! powiedziała. Jego listy są zupełnie do niego podobne. Kto jest ta panna Albyne?

— Jestto córka artysty który wymalował *Ateny Peryklesa*, kupione przez twego brata na przeszłorocznej wystawie.

— Czy jest tem wszystkiem co on mówi?

— Tak; jest ładną, więcej nawet niż ładną i bardzo rozumną.

Lady De Benham przeczytawszy także list wmięszała się do rozmowy.

— Nigdy nie słyszałam o tej pannie Albyne, powiedziała. Gdzież ją widziałeś, Temple?

— Spotkaliśmy ją, Arczy i ja, kopę lat temu, w Chillingford, nad brzegami Wyei, kiedy odbywaliśmy pieszą wędrówkę i kiedy byłem pierwszy raz w Benhampton. Mieszkaliśmy wszyscy w tej samej karczmie; jedna tylko się tam znajdowała w tej małej wioseczce i jaka karczma! Arczy i ja jedliśmy obiad w kuchni, na drewnianych miseczkach.

Powiedział to wszystko z udaną łatwością i obojętnością, ale snać nie umiał zupełnie dobrze przybrać tych pozorów, bo Klaudya odgadła prawdę.

— Czy pannie Albyne na imie Julia? spytała.

De Benham się zaczerwienił.

— Tak... zdaje mi się... że panna Albyne takie ma imie, odpowiedział zakłopotany. Czy ją znasz?

— Nie, odpowiedziała zimno Klaudya; znam tylko jej imie.

— Powinszujesz zapewne panu Blyth odwrotną pocztą, rzekła lady De Benham.

De Benham odpowiedział że był uradowany ze szczęścia Arczybalda i że nie omieszka tego samego wieczora napisać do niego.

Nie napisał jednak ani tego wieczora, ani następnego, ani przez wiele dni. Bo, chociaż mniej od kogokolwiek mógł mieć prawo czuć się obrażonym obrotem jaki wzięły rzeczy, De Benham jednak czuł się obrażonym i powtarzał sobie ciągle, że Arczy i Julia źle sobie z nim postąpili. Zdawało mu się że łącząc ślubem dwa swoje żywota, weszli w jakiś rodzaj sojuszu przeciwko niemu. Było to *może* rozsądnem żeby się Julia Albyne pocieszyła kiedyś i poszła zamąż; było bardzo słusznem żeby Arczy się ożenił i był szczęśliwym; ale żeby Julia Albyne szukała pociechy z Arczybaldem, a ten ostatni wybrał sobie za żonę Julią Albyne, byłto podwójny czyn z którym De Benham nie mógł się łatwo pogodzić. Potrochu jednak uczucie to minęło i potrafił napisać list z powinszowaniem dość serdeczny i szczery, i jako list, doskonały w swoim rodzaju.

Niedługo wyjechali i zatrzymując się kilka razy po drodze, dojechali do Spa, gdzie stanęli w pierwszych dniach czerwca, właśnie kiedy świat elegancki zaczął się zjeżdżać. W jakim hotelu mieszkali, jak długo tam pozostali, jak De Benham wolno ale pewno odzyskując siły, po kilku tygodniach czuł się dość zdrowym żeby w zamierzoną a tak smutnie dotąd przerwaną podróż, puścić się, zwiedzić brzegi Renu, Szwajcaryę i północne Włochy w ciągu lata i jesieni, a z początkiem zimy udać się do Rzymu, jak matka jego ciągle im towarzyszyła z miejsca na miejsce i jak nareszcie nie było już mowy żeby ich odjechała, jak wszystko szło gładko, a rzeczywiście źle szło, jak te dwie istoty złączone na całe życie, postępowały dalej na drodze życia, razem, ale obce sobie, związane na wieki, ale samotne, tego wszystkiego nie potrzebujemy mówić.

Tutaj kończy się nasza powieść. Tym którzy znajdą podobny koniec niezadawalniającym i pragną żeby bohaterowie i bohaterki powieści umierali lub byli szczęśliwemi według zwyczajnego porządku rzeczy, odpowiemy że życie jest niezadawalniające, a śmierć jeszcze więcej i że z ludzi którzy nie umierają ani nie są szczęśliwemi, składa się większa część ludzkości. Prawie zawsze rzeczy tego świata nie obracają się zupełnie na złe. Każda gwiazda ma swoją ciemną stronę i każda chmura swój jasny kącik. Pomyślność nie zawsze jest szczęściem; zdobycz nie tylko jest tryumfem; miłość rzadko kiedy jest dobrem bez skazy lub złem bez ratunku. Widzieliśmy jak Temple De Benham pragnął bogactw, a Klaudya Hardwicke stanowiska i jak oboje dosięgli szczytu swoich marzeń. Jeżeli pomimo tego nie byli także szczęśliwemi, życie ich jest jednym więcej dowodem prawdy tego starożytnego zdania, że Bogowie tym których chcą ukarać, dają to czego serca ich pragnęły.

KONIEC.



Druk J. Noskowskiego Mazowiecka Nr. 11. Дозволено Цензурою, Варшава 3 (15) Января 1876 г.